

**ADOLFO BIOY CASARES**

**PLAN UCIECZKI**

TYTUŁ ORYGINAŁU: PLAN DE EVASIÓN  
PRZEKŁAD: ANDRZEJ NOWAK



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1974

*Whilst my Physitians by their love are grown  
Cosmographers, and I their Mapp...  
John Donne, Hymne to Cod My God, in my sicknesse \**

Silvinie Ocampo

## I 27 STYCZNIA 22 LUTEGO

*Jeszcze nie upłynął pierwszy wieczór na tych wyspach, a już zauważyłem coś tak doniosłego, że muszę prosić Cię o pomoc, bezpośrednio, bez żadnych skrupułów. Spróbuję wyjaśnić wszystko po kolei.*

Oto pierwsze zdanie pierwszego listu mego siostrzeńca, porucznika marynarki Henri Neversa. Wśród przyjaciół i krewnych nie zabraknie takich, którzy powiedzą, iż jego niesłychane i budzące zgrozę przygody winny usprawiedliwiać ten ton alarmu. Tylko że oni, „wtajemniczeni”, wiedzą, że prawdziwe usprawiedliwienie tkwi w jego małodusznym charakterze. Co do mnie, znajduję w tych zdaniach prawdziwe treści i błędy, do których pretendować mogą nawet najlepsze proroctwa; nie sądzę ponadto, czy byłoby właściwym określać Neversa jako tchórza. To pewne, on sam przyznaje, że był bohaterem w pełni nieadekwatnym do katastrof, które go spotkały. Nie należy jednak zapominać, co stanowiło jego prawdziwe zmartwienie ani też co było w tych wydarzeniach najwspanialsze.

*Od momentu kiedy wyjechałem z Saint-Martin aż po dziś dzień, niepowstrzymanie, niczym w delirium, myślałem o Irène, mówi jak zwykle bez ogródek Nevers i ciągnie dalej:*

*Rozmyślałem też o przyjaciółkach, o nocach przegadanych w jakiejś kawiarni przy Rue Vauban, wśród ciemnych luster i na złudnym pograniczu metafizyki. Myślę o życiu, które porzuciłem, i nie wiem, kogo bardziej nienawidzić, Pierre'a czy siebie.*

Pierre to mój starszy brat; jako głowa rodziny postanowił oddalić Henryka; na niego zatem spada odpowiedzialność.

27 stycznia 1913 roku mój siostrzeniec wsiadł na „Nicolas Baudin” udającego się do Cayenne. Najlepsze chwile podróży spędził nad książkami Juliusza Verne'a albo nad pewnym podręcznikiem medycznym *Choroby tropikalne w przystępnym ujęciu*, lub też pisząc swój *Przyczynek do Monografii o sądach z Oléron*; najśmieszniejsze zaś — unikając rozmów o polityce czy też przyszłej wojnie, rozmów, co do których przyszło mu potem żałować, że ich nie słuchał. W ładowni jechało czterdziestu deportowanych; według jego własnych zwierzeń, wyobrażał sobie po nocach (najpierw jako literacką fikcję, żeby zapomnieć o straszliwym losie; później już niezależnie od własnej woli, z zadręczającą wręcz uporczywością), że można by zejść do ładowni i podburzyć ich. *Nie ma obawy, abym wrócił do tych myśli jeszcze raz w kolonii*, oświadcza. Opętany lękiem życia w więzieniu, nie czynił rozróżnień: straż, więznio-

\* Podczas kiedy moi doktorzy przez miłość swoją przemienili się w Kosmografów, a ja w ich Mapę...  
John Donne, *Hymn do Boga, Boga mego, w chorobie*

wie, osiedleńcy: wszystko to było dlań odpychające.

18 lutego wylądował w Cayenne. Powitał go adiutant Legrain, człowiek niechlujny, *coś w rodzaju obozowego fryzjera z kręconymi blond włosami i o błękitnych oczach*. Nevers zapytał go o gubernatora.

— Jest na wyspach.

— Chodźmy go odwiedzić.

— No cóż — powiedział łagodnie Legrain. — Mamy jeszcze czas, żeby pójść do zarządu, napić się czegoś i odpocząć. I tak nie może się pan tam udać, zanim nie odpływie „Schelcher”.

— Kiedy odpływa?

— Dwudziestego drugiego.

Brakowało czterech dni.

Wsiedli do sfatygowanego powozu, krytego i mrocznego. Nevers pracowicie oglądał miasto. Mieszkańcy — Murzyni albo pożółkli biali, w zbyt obszernych bluzach i szerokich słomkowych kapeluszach; albo więźniowie w białe i czerwone pasy. Domy stanowiły drewniane chaty koloru ochry, niektóre różowe, błękitne albo też barwy butelkowej zieleni. Drogi były pozbawione nawierzchni; jadących spowijał niekiedy rzadki czerwony pył. Nevers pisze: *Skromny pałac siedziby gubernatora zawdzięcza swą sławę posiadaniu piętrowej budowli z drewna, twardego jak kamień, które jezuici stosowali przy budowie. Niszczycielskie owady i wilgoć zaczynają go już toczyć.*

Dni, które spędził w stolicy miejsca zsyłek, wydawały mu się jakimś *piekielnym okresem* \*. Deliberował nad swoją słabością, nad chwilą, w której — aby uniknąć dyskusji — zgodził się na wyjazd do Cayenne, by na rok oddalić się od swej narzeczonej. Obawiał się wszystkiego: począwszy od choroby, wypadku, złego wypełniania obowiązków — co odwlekłoby lub uniemożliwiło mu powrót — *aż po jakąś niepojętą zdradę Irène*. Wyobrażał sobie, iż jest skazany na wszystkie te okropności za to, że bez sprzeciwu pozwolił dysponować swoim losem. Wśród więźniów, zesłańców i strażników sam uważał się za więźnia.

W przeddzień wyjazdu na wyspy jacyś państwo Frinziné zaprosili go na kolację. Zapytał Legrain, czy mógłby znaleźć jakiś wykręt. Legrain powiedział, że są to osobistości „bardzo dostojne” i że nie wypada zadrażniać z nimi stosunków. Dodał:

— Poza tym są już po pańskiej stronie. Gubernator zraził sobie całą śmietankę towarzyską Cayenne. To anarchista.

*Szukałem jakiejś wyniosłej i błyskotliwej odpowiedzi, pisze Nevers. A jako że nie znalazłem jej od razu, musiałem podziękować za radę, podjąć całą tę wykrętną politykę i punkt dziewiąta zostać przyjętym przez państwa Frinziné.*

Przygotowania podjął dużo wcześniej. Wiedziony obawą, że będą go wypytywać, a może jakimś diabolicznym dążeniem do symetrii, wyuczył się z Larousse'a hasła o więzieniach.

Gdy schodził po schodach siedziby gubernatora, była za dwadzieścia dziewiąta. Przeciął plac wysadzany palmami, przystanął, by podziwiać nieszczerólny pomnik Victora Huguesa, zgodził się, żeby jakiś czyścibut nadał połysku jego butom i okrążając ogród botaniczny dotarł wprost do domu Frinziné: był obszerny, zielony, o szerokich ścianach z nie wypalanej cegły.

Ceremonialna służąca powiodła go przez długie korytarze, przez nielegalną gorzelnię i w drzwiach wyścielonego purpurowymi dywanami salonu o złoto inkrustowanych ścianach zaanonsowała jego nazwisko. Było tam ze dwadzieścia osób. Nevers zapamiętał niewielu: gospodarzy domu — pana Filipa, bezimienną panią i Karolinę, dziewczynkę lat dwunastu albo trzynastu — bardzo otyłych, niskich, krępych i czerwonych; jakiegoś pana Lamberta,

\* Une saison en enfer (przyp. aut.)

który swym zwałistym cielskiem przyparł go do muru i pytał, czy nie sądzi, że najważniejsze w człowieku to godność. (Nevers zrozumiał z przerażeniem, że oczekiwał jakiejś odpowiedzi, ale wtrącił się inny z zaproszonych: „Ma pan rację, postępowanie gubernatora...” I Nevers oddalił się. Pragnął odkryć „tajemnicę” gubernatora, ale nie chciał wikłać się w intrygi. Powtórzył zdanie nieznanego, powtórzył zdanie Lamberta, powiedział sam do siebie „cokolwiek jest symbolem czegokolwiek” i pozostał przy swej jałowej satysfakcji). Zapamiętał również niejaką panią Wernaer: krążyła wokół nich ospale i on zbliżył się, aby do niej przemówić. Natychmiast poznał historię Frinziné, króla kopalń złota kolonii, do niedawna jeszcze sprzątacza w jakiejś rozlewni trunków. Dowiedział się także, że Lambert był komendantem wysp; że Piotr Castel, gubernator, sam osiadł na wyspach, zaś jego odesłał jako komendanta do Cayenne. I to było niepojęte: Cayenne zawsze była siedzibą gubernatora. Ale Castel był wywrotowcem, chciał przebywać wyłącznie z więźniami... Dama oskarżała także Castela o pisanie oraz publikowanie w poważnych i znanych gazetach niewielkich poematów prozą.

Przeszli do stołowego. Po prawej stronie Neversa zasiadła pani Frinziné, zaś po lewej żona prezesa Banku Gujany; dalej, naprzeciwko czterech goździków, które gięły się w wysokim wazonie z niebieskiego szkła, Karolina, córka gospodarzy. Z początku były śmiechy i wielkie ożywienie. Nevers spostrzegł, że wokół niego rozmowy wyraźnie przygasają. Ale, wyznaje, nie odpowiadał, kiedy się doń zwracano: próbował sobie przypomnieć to, co przygotował tego wieczoru z Larousse'a, i wreszcie zdołał przewyciężyć przyćmienie pamięci, jego radość przejawiała się w słowach i ze *straszliwym entuzjazmem* rozprawiał o czcigodnym Benthamie, autorze *Obrony lichwiarstwa*, odkrywcy rachunku hedonicznego i więzień panoptycznych; powołał się także na więzienny system prac bezużytecznych i gnuśnej bezczynności Auburna. Zdołał odczuć, że niektóre osoby wykorzystywały jego milczenie dla zmiany tematu; o wiele później przyszło mu do głowy, że, być może, w tym towarzystwie nie było wskazanym mówić o więzieniach; siedział zmieszany, nie słuchając tych niewielu słów, które wciąż jeszcze rozbrzmiewały, dopóki nagle nie usłyszał z ust pani Frinziné (*tak jak słyszymy w nocy nasz własny krzyk, który nas budzi*) pewnego nazwiska: René Ghill. Nevers „wyjaśnia”: *Ja nawet nieświadomie mogłem być przypomnieć sobie tego poety; ale żeby wzmiankowała o nim pani Frinziné, było wprost niepojęte. Zagadnął ją obcesowo:*

— Pani znała Ghilla?

— Bardzo dobrze. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile razy siedziałam u niego na kolanach, w kawiarni mojego ojca, w Marsylii. Byłam dzieckiem... panią jeszcze wtedy.

Nevers, z nagłym przypływem szacunku, zapytał, czy pamięta jakiś utwór tego poety harmonii.

— Nic sobie nie przypominam, ale moja córka może zacytować śliczny wiersz.

Należało zadziałać i Nevers natychmiast zaczął mówić o *Sądach z Oléron*, o tym wielkim *coutumier*, który określił był prawa oceanu. Próbował podburzyć współbiedniaków przeciwko wyrażającym odmienne zdania obcokrajowcom, którzy utrzymują, że autorem *Sądów* był sam Ryszard Lwie Serce, sprzeciwił się także bardziej romantycznej, ale jakże zakłamanej kandydaturze Eleonory z Guyeny. Nie — powiedział — owe klejnoty (podobnie jak nieśmiertelne poematy ociemniałego barda) nie mogą być dziełem wyłącznie jednego geniusza; były wytworem obywateli naszych wysp, tak różnych od siebie, a tak skutecznych w działaniu niczym każda z nawarstwiających się części. Wspomniał pod koniec ulotnego Pardessus'a i zaklinał obecnych, by nie dali się uwieść jego olśniewającym a przewrotnym herezjom. *Po raz któryś musiałem stwierdzić, że poruszane przeze mnie tematy zainteresowały kolejną grupę nielicznych*, wyznaje, niemniej odczuł litość dla swego audytorium i zapytał:

— Czy gubernator zechciałby mi dopomóc w moich badaniach nad *Sądami*?

Pytanie było absurdalne; ale nosił się z zamiarem *dostarczenia im chleba i igrzysk*,

słowa „gubernator”, by mogli się poczuć szczęśliwi. Dyskutowali o kulturze Castela, zgodzili się co do jego uroku osobistego; Lambert próbował go porównać z mędrcem z jakiejś tam książki, którą właśnie czytał: z jakimś zniedołężniałym starcem mającym zamiar wysadzić Operę Komiczną. Rozmowa zбочzyła na temat kosztów Opery Komicznej, a także gdzie teatry są większe, w Europie czy w Ameryce.

Pani Frinziné powiedziała, że biedni strażnicy cierpią głód z powodu ogrodu zoologicznego gubernatora.

— I gdyby nie mieli swych prywatnych kurników... — perorowała podniesionym głosem, aby ją usłyszano.

Poprzez goździki patrzył na Karolinę; milczała nadal, z oczyma uparcie wbitymi w nakrycie.

O północy wyszedł na taras. Oparty o balustradę, kontemplując z roztargnieniem drzewa ogrodu botanicznego, ciemne i ręciovowe w blasku księżyca, recytował poematy Ghilla. Przerwał; wydawało mu się, że słyszy jakiś łagodny szmer; powiedział — to szum amerykańskiej dżungli; ściślej rzecz biorąc, wydawało mu się, że to szelest wiewiórek albo małp; i wtedy zobaczył jakąś kobietę dającą mu znaki z ogrodu; próbował patrzeć na drzewa i recytować poematy Ghilla; usłyszał śmiech kobiety.

Przed wyjściem jeszcze raz zobaczył Karolinę. Była w pokoju, gdzie piętrzyły się kapelusze gości. Karolina wyciągnęła krótką rękę z zamkniętą dłonią; rozwarła ją; Nevers, zmieszany, dojrzał jakiś błysk, a potem syrenę ze złota.

— Dam ci ją — powiedziała po prostu.

I w tym właśnie momencie weszli jacyś państwo. Karolina zamknęła dłoń.

Nie spał tej nocy; myślał o Irène, a pojawiała się Karolina, natrętna i nużąca; musiał sobie przyrzec, że nigdy więcej nie uda się na Wyspy Zbawienia; że pierwszym statkiem wróci do Ré.

22 wsiadł na łoskotliwego „Schelchera”. Wśród czarno ubranych, bladych i nękanym morską chorobą pań, wśród wielkich klatek z kurczętami, jeszcze chory z powodu kolacji poprzedniego dnia, podjął podróż na wyspy. Zapytał któregoś z marynarzy, czy nie ma innego środka komunikacji między wyspami a Cayenne.

— Jednej niedzieli „Schelcher”, następnej „Rimbaud”. Ale ci z administracji nie mogą narzekać, ta ich motorówka...

*Wszystko to było podejrzone, odkąd tylko wyjechałem z Ré, pisze, ale zobaczywszy wyspy doznałem nagłego lęku.* Wiele razy wyobrażał sobie przybycie; po przybyciu uczył, że nie zdarzy się żaden cud ani żadna klęska, która przeszkodziłaby mu objąć funkcję w więzieniu. Potem jednak stwierdza, że sam widok wysp nie jest niemiły. Więcej: wysokie palmy, skały, takie właśnie było jego wyobrażenie o wyspach, o których marzył razem z Irène; a jednak uporczywie go odpychały i nasza mizerna wioska Saint-Martin była w jego wspomnieniach czymś niemal olśniewającym.

O trzeciej po południu dotarł na Wyspę Królewską. Notuje: *Na molo oczekiwał mnie jakiś śniady Żyd, niejaki Dreyfus.* Nevers natychmiast Zwrócił się doń per „panie gubernatorze”. Jakiś strażnik szepnął mu do ucha:

— To nie gubernator; to Dreyfus, osiedleniec.

Dreyfus chyba nie słyszał, gdyż powiedział, że gubernator jest nieobecny. Zaprowadził go do jego mieszkania przy zarządzie; nie miało romantycznego (choć zaniedbanego) przepychu pałacu w Cayenne; było zdatne do zamieszkania.

— Jestem na pańskie rozkazy — stwierdził Dreyfus otwierając walizy. — Mym przeznaczeniem jest służyć panu gubernatorowi i panu, panie poruczniku. Niech pan rozkaże, czego pan sobie życzy.

Był człowiekiem średniego wzrostu, o zielonkawej cerze, bardzo małych i błyszczących oczach. Mówił nie poruszając się, z całkowitym spokojem. Słuchając opuszczał powieki i lek-

ko otwierał usta; w jego wyrazie tkwi jakiś oczywisty sarkazm, jakaś przygaszona przenikliwość.

— Gdzie jest gubernator?

— Na Wyspie Diabła.

— Udajmy się tam.

— Niemożliwe, panie poruczniku. Pan gubernator zabronił wstępu na wyspę.

— A pan mi zabroni pójść się przejść? — Zdanie wypadło słabo. Za to Nevers wyszedł mocno trzaskając drzwiami. Niespodziewanie Dreyfus znów zjawił się u jego boku. Zapytał, czy mógłby mu towarzyszyć, i *uśmiechnął się z oblesną słodyczą*. Nevers nie odpowiedział; spacerowali razem. *Wyspa nie należy do miejsc sympatycznych, ze wszech stron zgroza oglądania więźniów, zgroza bycia wolnym wśród więźniów.*

— Gubernator czeka na pana z utęsknieniem — powiedział Dreyfus. — Jestem pewien, że odwiedzi pana tego wieczora.

Neversowi wydało się, że odczuwa pewną ironię. Zadawał sobie pytanie: czy to wyłącznie sposób mówienia, czy też jego żydowska przewrotność oznajmiła mu, że złorzeczyłem gubernatorowi? Dreyfus chwalił gubernatora, gratulował szczęścia Neversowi (spędzenia kilku lat młodości w cieniu aż tak mądrego i miłego szefa), a także własnego szczęścia sobie.

— Mam nadzieję, że nie będą to lata — powiedział zuchwale Nevers, po czym poprawił: — Mam nadzieję, że nie będą to lata, w ciągu których byłbym zmuszony chodzić wraz z panem.

Doszedł aż do wielkich skał na brzegu. Podziwiał Wyspę Świętego Józefa (naprzeciwko) i Wyspę Diabła (wśród fal, nieco dalej). Sądził, że jest sam. I nagle Dreyfus przemówił swoim niezwykle łagodnym tonem. Poczul mdłości i strach, żeby nie wpaść do morza.

— To tylko ja.

Dreyfus kontynuował:

— Już sobie idę, panie poruczniku. Ale niech pan na siebie uważa. Łatwo się pośliznąć na pleśni skał, a w wodzie wypatrzą pana rekiny.

Nadal patrzył na wyspy (z większą ostrożnością, ukrywając że bardziej na siebie uważa).

I wtedy, gdy pozostał sam, dokonał przerażającego odkrycia. Wydało mu się, że wśród roślinności Wyspy Diabła widzi ogromne węże; więc niebacznym na czyhające nań w morzu niebezpieczeństwo zrobił kilka kroków i dojrzał w biały dzień, zupełnie jak Cowley w astrologicznej nocy jeziora Neagh albo niczym czerwonoskóry w jeziorze Horcones, zielonkawe przedpotopowe zwierzę; zafascynowany, ruszył w kierunku dalszych skał; *nieszczęsna prawda* ujawniła się: Wyspa Diabła była „zamaskowana”. Dom, jakiś betonowy dziedziniec, skały, jakiś mały pawilon, wszystko to było „zamaskowane”.

*Co to może oznaczać? — píše Nevers. — Czyżby gubernator był prześladowany? Szaleniec? A może oznacza to wojnę? Wierzył w hipotezę wojny: prosił o przeniesienie go na jakiś okręt. Czyż mam spędzić tu całą wojnę, z dala od Irène? Czyż mam być dezertorem? W postscriptum dodaje: Przyjechałem osiem godzin temu. Dotychczas nie widziałem Castela, nie mogłem więc zapytać go o te „kamufłaze”, nie mogłem też usłyszeć jego kłamstw.*

## II 23 LUTEGO

Nevers przemierzył wyspy Królewską i Świętego Józefa (w swoim liście z 23 mówi: *jak dotąd nie znalazłem żadnego pretekstu, by znaleźć się na Wyspie Diabła*).

Wyspa Królewską i Świętego Józefa liczą niecałe trzy kilometry kwadratowe każda; Wyspa Diabła jest trochę mniejsza. Według Dreyfusa było tam jakichś siedmuset pięćdziesięciu mieszkańców: pięciu na Wyspie Diabła (gubernator, sekretarz gubernatora i trzech więźniów politycznych), czterystu na Wyspie Królewskiej i ponad trzystu czterdziestu na Świętego Józefa. Najważniejsze budynki znajdują się na Wyspie Królewskiej: administracja, latarnia, szpital, warsztaty i magazyny, czerwona szopa. Na Wyspie Świętego Józefa znajduje się warowny obóz i jeden budynek — „zamek” — składający się z trzech pawilonów: dwóch dla skazanych na izolację i jednego dla wariatów. Na Wyspie Diabła jest budynek z tarasami, który sprawia wrażenie nowego, jakieś kryte słomą chaty i zmurszała wieża.

Więźniowie nie są zmuszani do wykonywania jakiegokolwiek pracy; prawie cały dzień włączają się swobodnie po wyspie (z wyjątkiem uwięzionych w „zamku”, którzy nie wychodzą nigdy). Widział więźniów: w ciasnych, wilgotnych i odosobnionych celach z ławą i barłogiem słuchają szumu morza i nieustannego wrzasku wariatów, zmuszają się, by wyryć paznokciem na ścianach jakieś imię, jakiś numer, zupełnie już ogłupiali. Widział wariatów: nagich, wyjących wśród resztek jedzenia.

Wrócił na Wyspę Królewską; odwiedził czerwoną szopę. Cieszyła się ona w całej kolonii sławą miejsca najbardziej krwawego i zepsutego. Strażnicy i więźniowie oczekiwali jego wizyty. Wszystko było *w porządku, w brudzie i nędzy nie do zapomnienia*, komentuje z niezmiernym sentymentalizmem Nevers.

Wchodząc do szpitala drżał. Było to miejsce prawie przyjemne. Widział tu mniej chorych niż w „zamku” i w czerwonej szopie. Zapytał o lekarza.

— Lekarz? Już od dawna nie mamy — powiedział któryś ze strażników. — Chorymi zajmują się gubernator i sekretarz.

*Choćbym nawet miał narazić się na wrogość gubernatora — pisze — spróbuję dopomóc więźniom.* Potem rozwija swą ponurą refleksję: *pracując w ten sposób stanę się współwinowajcą istnienia więzień.* Dodaje, że będzie unikał wszystkiego, co mogłoby opóźnić jego powrót do Francji.

## III

Gubernator nadal przebywał na Wyspie Diabła zajęty tajemniczymi pracami, o których Dreyfus nie wiedział albo tylko mówił, że nic o nich nie wie. Nevers powziął zamiar zbadania, czy nie kryją one jakiegoś niebezpieczeństwa. Musiał działać z dużą ostrożnością; pobranie żywności lub korespondencji nie było wystarczającym pretekstem; prawdą jest, że była jedna motorówka i więcej niż jedna łódka; lecz była także stalowa lina kolejki i nakaz jej używania. Dreyfus powiedział, że używa się tego aparatu (który nie zdoła pomieścić człowieka), ponieważ wokół Wyspy Diabła morze zwykło być burzliwe. Patrzyli na nie: było spokojne. Wtedy Dreyfus zapytał go, czy sądzi, że kolejka linowa została zainstalowana na polecenie Castela.

— Aparat był już gotowy, kiedy tu przyszedłem — dodał. — Niestety, brakowało jeszcze wielu lat do mianowania gubernatorem pana Castela.

— I kto mieszka na wyspie? — zapytał Nevers (roztargniony: Dreyfus mówił mu o tym 23).

— Gubernator, pan De Brinon i trzech więźniów politycznych. Był jeszcze jeden, ale gubernator przeniósł go do czerwonej szopy.

Ten fakt (umieszczenie więźnia politycznego wśród zwykłych przestępców) musiał spowodować szczere i oczywiste oburzenie. Tak oczywiste, że Nevers wyczuwał je nawet w słowach *tego fanatycznego stronnika gubernatora*. Sam Nevers był oszołomiony i powtarzał sobie, że nie zniósłby takiej hańby. Potem zastanawiał się, czy aby ten czyn Castela nie zmniejszał niebezpieczeństwa sprawdzenia, co działo się na Wyspie Diabła; pomyślał, że więzień nie miałby nic przeciwko mówieniu (a gdyby miał, wystarczyłoby udawać niechęć wobec Castela). Zapytał Dreyfusa o nazwisko więźnia.

— Ferreol Bernheim.

Dorzucił jakiś numer. Nevers wyciągnął notes i na oczach Dreyfusa zapisał dane; potem zapytał, kto to jest De Brinon.

— Istny cud, Apollo — powiedział Dreyfus ze szczerym entuzjazmem. — To młody sanitariusz z dobrej rodziny. Sekretarz gubernatora.

— Dlaczego na wyspie nie ma lekarzy?

— Zawsze był jakiś lekarz, ale teraz gubernator i pan De Brinon sami zajmują się chorymi.

Żaden z nich nie był lekarzem. *Można by argumentować, że nie był nim również Pasteur* — zapalczywie komentuje Nevers. *Nie wiem, czy to słuszne darzyć szacunkiem znachorów*. W „zamku” i w czerwonej szopie widział wszystkie rodzaje chorób, od anemii aż po trąd. Potępiał Castela, myślał, że powinien zabrać chorych z wysp i odesłać do szpitala. W końcu odkrył, że jego gwałtowna dezaprobatą nie była zbyt daleka dziecinnej obawie przed zarażeniem się, niemożnością zobaczenia więcej Irène i pozostaniem na wyspach o parę miesięcy dłużej, aż do śmierci.

## IV 3 MARCA

*Dziś popełniłem nieostrożność* — donosi w swym liście z 3 marca. Rozmawiał z Bernheimem. Wieczorem poszedł do czerwonej szopy i polecił go zawołać. Był to człowieczek o wygolonej twarzy koloru starej gumowej piłki, o ciemnych, bardzo głębokich oczach i spojrzeniu psa, które zdawało się dobiegać gdzieś z daleka, z dołu, pokornie. Prężył się niczym niemiecki żołnierz i próbował wyprostować; udało mu się spoglądać z ukosa.

— Czego pan sobie życzy? — Głos był wyniosły; spojrzenie smutne. — Władza to dla mnie wszystko, ale z obecnymi władzami nie chcę mieć nic do...

Nevers wykonał gest zdziwienia. Powiedział urażony:

— Nie ponoszę odpowiedzialności za to, co się działo przed moim przybyciem.

— Ma pan rację — przyznał Bernheim, pokonany.

— A więc, co się wtedy stało?

— Nic — odparł. — Nic: ten wodny szczur, który ośmiesza władzę, zabrał mnie z Wyspy Diabła i dołączył do pospolitych więźniów.

— Na pewno popełnił pan jakieś wykroczenie.



— No pewnie — powiedział prawie krzyżąc. — Ja też o to pytałem. Ale pan zna moje obowiązki: 1. Zbierać kokosy. 2. Wracać punktualnie do szopy. Przysięgam panu: jeszcze nie narodził się człowiek, który dorównałby mi w punktualności.

— Postaram się, żeby pana przeniesiono z powrotem na wyspę.

— Niech pan nie interweniuje, szefie. Nie chcę niczego zawdzięczać panu gubernatorowi. Jestem wrzodem na sumieniu Francji.

Nevers pisze bez sensu: *Bernheim sprawiał wrażenie zachwyconego; podziwiał moją bliznę. Ludzie wyobrażają sobie, że cięcie to jest pamiątką po jakiejś bójce. Byłoby wskazanym, żeby więźniowie sądzili, że to oznaka agresywności.*

Nie powinien był tak od razu napomykać o cięciu, które, z wyjątkiem kobiet (podejrzewam, że je pociąga!), powoduje odrazę gatunku ludzkiego. Nevers wie, że to nie oznaka agresywności. Powinien wiedzieć, że to oznaka jego charakteru, którym wyróżnia się, być może, w historii psychologii klinicznej. Oto geneza tej plamy: Nevers miał dwanaście albo trzynaście lat. Uczył się w ogrodzie nie opodał mrocznej laurowej altany. Pewnego popołudnia zobaczył, jak z altany wychodzi dziewczynka ze zmierzwionymi włosami, dziewczynka, która płakała i krwawiła. Widział, jak idzie; oszalały strach nie pozwolił mu przyjść jej z pomocą. Chciał zbadać altanę; nie odważył się. Chciał uciekać; powstrzymywała go ciekawość. Dziewczynka mieszkała niedaleko. Jej bracia, trzech chłopcy trochę starsi od Neversa, zjawili się bardzo szybko. Weszli do altany; wyszli z niej natychmiast. Zapytali, czy nie widział jakiegoś człowieka. Odparł, że nie. Chłopcy poszli. Poczul bezgraniczną ciekawość i zawołał za nimi: „Nikogo nie widziałem, bo całe popołudnie siedziałem w altanie”. Mówił mi, że musiał krzyczeć jak niespełna rozumu, bo inaczej chłopcy nie uwierzyliby mu. Uwierzyli i zostawili niczym martwego.

Wracam do opowiadania z owego 3 marca na wyspach. Wyszli na przechadzkę. Zdołali już pomówić o wielu sprawach, kiedy Nevers uznał, że jego zachowanie nie było rozsądne. Impulsywna szczerość Bernheima pozyskała go. Nagle stwierdził, że toleruje bez sprzeciwu albo przytakuje *trafnym* inwektywom pod adresem gubernatora i francuskiej sprawiedliwości. Przypomniał sobie, że nie przybył tu jako powiernik uraz tego człowieka ani by bronić go przed niesprawiedliwością; miał go po prostu wypytać, gdyż obawiał się, że w tajemnicy Wyspy Diabła kryło się coś, co mogło opóźnić jego powrót. Zdołał to rozważyć, podczas gdy Bernheim oblegał go swą elokwencją, ponownie roztrząsał swoje kłeski i powtarzał, że właśnie on stanowi największą hańbę naszej historii. Nevers postanowił mu przerwać:

— Więc skoro gubernator skończył „maskowanie”, co robi obecnie?

— Maskuje wewnątrz domu. — I dodał: — Ale zobaczymy, na co mu się zdadzą „maskowania”, kiedy...

Nevers nie słuchał go. Jeśli Castel „maskował” wewnątrz domu, był szalony, a skoro był szalony, on mógł pozbyć się swoich obaw.

Był zadowolony z wywiadu; a jednak, myślał, *gubernator nie może o tym wiedzieć, muszę być ostrożny wobec jego chorych knoń i przebiegłości.* Kiedy wracał do zarządu, zobaczył jakiegoś mężczyznę idącego w oddali wśród skał i palm Wyspy Diabła. W ślad za nim podążało stado różnorodnych zwierząt. Jakiś strażnik powiedział mu, że to gubernator.

## V

5 pisze: *Gubernator dotychczas jeszcze się nie pojawił, choć podobno czekał na mnie niecierpliwie. Moja bezzwłoczna chęć zobaczenia tego dżentelmena ma swój określony cel: no bo na przykład chcę wiedzieć, czy utrata zmysłów jest całkowita, czy też nie, czy powinienem*

go zamknąć albo czy jego stan ma związek z jakąś manią. Pragnął też wyjaśnić inne problemy: Co robił De Brinon? Czy pilnował chorego? Znęcał się nad nim?

Jeśli gubernator nie był zupełnym wariatem, Nevers zasięgnąłby jego porad co do administracji. Aktualnie administracja nie istniała. Czemu to należało przypisać? Szaleństwu? Brakowi zainteresowania?

W takim przypadku gubernator nie byłby nikczemnikiem. Ale jakże ufać człowiekowi, którego zamiłowaniem jest zarządzanie więzieniem? *Jednakowoż, rozważał, i ja jestem tutaj; czy to zamiłowanie mnie tu przywiodło?*

W bibliotece Castela były książki z zakresu medycyny, psychologii i niektóre powieści z XIX wieku; brakowało klasyków. Nevers nie był entuzjastą medycyny. Jediną korzyścią, jaką odniósł z *Chorób tropikalnych w przystępnym ujęciu*, był miły, ale efemeryczny prestiż wśród służących domu: tak przynajmniej sądził 5 marca.

W liście z tą datą dziękuje mi za książki, które mu wysłałem, i mówi, że jego kuzyn Ksawery Brissac był jedynym członkiem rodziny, który go pożegnał. *Niestety — pisze — statek nazywał się „Nicolas Baudin”; Ksawery skorzystał z okazji i przypomniał, że wszyscy mieszkańcy Oléron i Ré, we wszystkich możliwych konfiguracjach wokół stolików „Cafe du Mirage”, powtarzali: „Nicolas Baudin był autorem odkryć, które Anglicy przypisywali Flindersowi”.* Ksawery dodałby zapewne, że w związku z pobytem Neversa na wyspach, tak przyjaznych owadom i entomologom, oczekiwał dla chwały Francji prac równie monumentalnych, jak Baudina; ale nie prac entomologa: raczej prac bardziej stosownych dla natury Neversa.

Potem mówi o Dreyfusie: *Muszę przyznać, że na swym archipelagu jest on o wiele mniej nużący niż w naszej literaturze. Ledwie go widziałem, prawie go nie słyszałem, ale wszystko było na czas i w porządku, z wyjątkiem kawy: jest bardzo sprawny.* Natychmiast zapytuje się, czy aby owo pojednanie nie jest wróżebne, czy nie jest początkiem pojednania się z losem, i dodaje: *Jednej z bezsennych nocy doznałem tej obawy: rozluźnienia woli, jakie powodują tropiki, osiągnięcia tego, by nie pragnąć powrotu. Ale jak uniknąć tych niebezpieczeństw? Bać się ich to tylko złudzenie. To tak jak chcieć marzyć, że nie istnieje klimat, owady, niewiarygodne więzienie i dokuczliwy brak Irène.*

Z powodu więzienia, owadów, a nawet braku Irène nie sposób mu czynić zarzutów. Co do klimatu, wydaje się, że przesadza. Interesujące nas wydarzenia miały miejsce w lutym, marcu i kwietniu; w zimie; to prawda, że tam zdarza się, iż lato przychodzi w marcu; to prawda, że zima w Gujanie jest równie duszna, jak lato w Paryżu..., a przecież Nevers, wbrew woli swych przełożonych, spędził niejedne wakacje w Paryżu i nie narzekał.

Nadal szukał jakiegoś wytłumaczenia zachowania się gubernatora. Czasem obawiał się zbyt łatwego przyjęcia hipotezy szaleństwa. Starał się nie zapominać, że to tylko hipoteza: opierała się wyłącznie na słowach Bernheima; być może tylko na przypadkowym powiedzeniu; może powiedział: „maskuje wnętrze”, aby określić, że je maluje w sposób ekstrawagancki. A może też opierała się ona na błędach obserwacji albo niedostatkach obserwatora. Jeśli plamy, które maluje Castel wewnątrz, są takie same jak te na zewnątrz, myślał, czy nie byłby słusznym wnioskiem, że w żadnym z tych przypadków nie chodzi o „maskowanie”? *Może jest to jakiś eksperyment, coś, czego ani Bernheim, ani ja nie rozumiemy.* Tak czy inaczej, mówi z patetyczną nadzieją, *istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że owe malowidła nie wróżą bliskiej wojny.*

## VI

Pewnej nocy, podczas gdy Dreyfus podawał kawę, rozmawiali na tarasie. *Dlatego że nienawidzą wszystkiego w tej kolonii, byłem niesprawiedliwy dla biednego Żyda*, pisze Nevers. Dreyfus był człowiekiem cokolwiek czytany — znał tytuły prawie wszystkich tomów w bibliotece — *obeznanym z historią, obdarzonym zdolnościami, aby mówić po francusku i po hiszpańsku z poważną elegancją i lekką, skuteczną ironią*. Stosowanie pewnych archaicznych zwrotów mogłoby sugerować, że jego sposób mówienia był wyuczony. Nevers snuł nieco mniej fantastyczne przypuszczenia: Dreyfus był chyba hiszpańskim Żydem, jednym z tych, których widywał w Kairze i Salonikach: otoczeni obcojęzycznym tłumem nadal mówili tą samą hiszpańszczyzną, której używali w Hiszpanii, czterysta lat temu, zanim ich wyrzucono. Może jego przodkowie byli kupcami albo marynarzami i znali francuski i może w ustach Dreyfusa słyszał mowę średniowiecza.

Uważał, że upodobania literackie Dreyfusa nie były zbyt wyszukane. Na próżno usiłował zdobyć jego obietnicę (*co nic by go nie kosztowało, a uspokoiłoby moje sumienie*) przeczytania kiedyś dzieł Teokryta, Mosco, Bióna albo *nawet Marinetti*ego. Daremnie próbował uniknąć wysłuchania treści *Tajemnicy złotego pokoju*.

Według Neversa historyczne prace jego ordynansa nie ograniczały się do zachłannej lektury; poczynił pewne osobiste badania dotyczące przeszłości kolonii; obiecał pokazać mu interesujące rzeczy. Nevers nie mówił mu, że *jego zainteresowania polegały na ignorowaniu tak teraźniejszości, jak i historii tego ponurego regionu*.

Potem zapytał go, dlaczego na wyspie było aż tylu wariatów.

— Klimat, niedostatek, zarazki — stwierdził Dreyfus. — Niech pan nie sądzi, że wszyscy w chwili przyjazdu byli tak zdrowi, jak pan. Ta sprawa wyzwała najprzeróżniejsze intrygi: powiedzą panu, że jeżeli gubernator chce pozbyć się takiego czy innego adiutanta, ogłasza go wariatem i zamyka.

Aby zmienić temat, Nevers zapytał, co robił gubernator ze zwierzętami. Dreyfus ukrył twarz; mówił głosem drżącym i powolnym.

— Tak, to straszne. Pan chce, żebym potwierdził... Ale to wielki człowiek.

Nevers mówi, że hamowane wzburzenie Dreyfusa przybierało na sile i że on sam był zdenerwowany, jakby przeczuwał jakieś straszliwe stwierdzenie. Dreyfus ciągnął dalej:

— Wiem: są rzeczy, których nie sposób wypowiedzieć. Lepiej o nich zapomnieć, tak, zapomnieć.

Nevers nie śmiał nalegać. Komentuje: *Można tolerować psa, niczym dokuczliwy wyrostek robaczkowy tante Brissac. Ale jakże rozsądzić, jaka może być granica wstrętu do człowieka, który otacza się stadem cuchnących zwierząt? Przyjaźń ze zwierzęciem jest niemożliwością, współzycie czymś potwornym*, kontynuuje mój siostrzeniec w poszukiwaniu lichej oryginalności. *Stopień wrażliwości zwierząt jest odmienny od naszego. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie ich doznań. Pan i pies nigdy nie żyli w tym samym świecie*.

*Obecność zwierząt i przerażenie Dreyfusa zdają się coś sugerować* — wyjaśnia zagadkowo mój siostrzeniec — *coś niepodobnego do rzeczywistości*. Ale Castel nie był nie rozumianym i nieszczęśliwym mędrcom; był wariatem albo zwariowanym kolekcjonerem, który marnotrawił żywność więźniów w swym ogrodzie zoologicznym.

Ale jednak stwierdza: *Nie podam tego do gazet, a tym samym nie oskarżę Castela*. To, że jakiś gubernator ogłosił swego wroga wariatem, mogło być tylko anonimowym oszczerstwem lub jakimś matactwem Dreyfusa. Ale chyba byłoby rzeczą nierozsądną stać się wrogiem gubernatora miejsca zesłań, zwłaszcza jeśli to miejsce jest oblaną morzem wyspą. Pewnego dnia wróciliby do Francji i gdyby wtedy zechciał go zdemaskować... Ale wtedy

będzie razem z Irène, będzie szczęśliwy, a zapalczywe intencje na dziś będą tylko fragmentem sennych koszmarów z Wyspy Diabła, okropnych i minionych. Był w takim stanie, jak gdyby się obudził w środku nocy i wiedział, że zaśnie ponownie i przez parę godzin będzie śnić dalej, ale powziął decyzję, by nie brać spraw zbyt poważnie i uzbroić się w elastyczną obojętność (zupełnie jakby zapomniał, że śnił).

Był ożywiony i pewny, że nie wpadnie w nowe niepokoje.

## VII

Mówi, że w nocy 9 marca był tak zmęczony, że nie miał sił przerwać lektury *Traktatu o Izydzie i Ozyrysie* Plutarcha i pójść się położyć.

Wspominał tę pierwszą wizytę gubernatora jak wydarzenie ze snu. Usłyszał jakieś kroki, w dole, na dziedzińcu; wyrzął; nie dostrzegł nikogo; z właściwą dla podwładnych przebiegłością ukrył książkę i zaczął kartkować jakiś zeszyt. Wszedł gubernator. Był to szeroko uśmiechnięty starzec, z siwą brodą i chmurnymi, niebieskimi oczyma. Nevers pomyślał, że powinien unikać łatwej skłonności uważania go za wariata. Gubernator rozwarł ramiona i zawołał głosem myszy albo Japończyka:

— Nareszcie, drogi przyjacielu, nareszcie. Tak długo na pana czekałem! Ten pocziwy Pierre Brissac pisał mi o panu w bardzo długim liście. I oto jestem gotów do współpracy z panem.

Wołał tak obejmując go, krzyczał klepiąc go po ramieniu, krzyczał obejmując go ponownie. Mówił z bardzo bliska. Nevers próbował uniknąć tej nachalnej twarzy, tego namacalnego oddechu.

*Gubernator jest profesjonalnie sympatyczny*, pisze Nevers, ale wyznaje, że on, już od pierwszej chwili, patrzył nań nieprzyjaźnie. Ta nieprzystępność to zupełnie nowe oblicze mego siostrzeńca; być może wysłanie go do Gujany nie było aż tak wielkim błędem.

Gubernator wyznaczył mu funkcję odpowiedzialnego za Wyspę Królewską i Świętego Józefa. Wręczył mu klucze od archiwum i magazynu broni.

— Ma pan do dyspozycji moją bibliotekę. Resztki mojej biblioteki: tomy, których jeszcze nie rozebrali strażnicy.

*Niemili starzec* — pisze Nevers. — *Z szeroko rozwartymi oczyma, jakby się czemuś dziwił, cały czas szukał moich oczu, by patrzeć wprost w nie. To chyba imbecyl albo hipokryta.*

Nevers zdołał mu powiedzieć, że widział „kamufłaże”. Gubernator nie zrozumiał albo udawał, że nie rozumie.

Nevers zapytał:

— Czy są to jakieś eksperymenty?

Pożałował, że ułatwił mu wytłumaczenie.

— Tak, eksperymenty. Ale ani słowa więcej. Pan wygląda na zmęczonego. Eksperymenty, drogi przyjacielu.

Był potwornie zmęczony. Zasypiając uwierzył, że to gubernator narzucił mu ogromne zmęczenie nie chcąc mówić o „maskowaniu”.

Gubernator spojrział na zeszyt i powiedział:

— Praca aż do tej pory. No tak, bez wątplenia: praca pasjonuje.

Mój siostrzeniec patrzył nań ze zdziwieniem; gubernator patrzył nań z sympatią.

— Nie mówię o pracy w ogóle... — wyjaśnił. — Nie wydaje mi się również, żeby ta

książka mogła pana zainteresować.

Po pewnej przerwie kontynuował:

— Nasza praca fascynuje, zarządzanie więzieniem.

— Rzec gustu... — odparł Nevers.

*Replika była słaba — ale nie daremna*; zwolniła go od konieczności robienia dobrej miny (*wskutek tchórzostwa, najzwyczajszego tchórzostwa*) i udawania *nikczemnej* zgody. A jednak nie był pewien, czy zabrzmiało to odpowiednio wyniośle.

Gubernator oświadczył:

— Chyba się zagalopowałem.

— Chyba — powiedział Nevers, już umocniony w swej wrogości.

Gubernator popatrzył nań swymi niebieskimi i wilgotnymi oczyma. Mój siostrzeniec też na niego spojrział: ocenił *jego szerokie czoło, jego różowe dziecięce policzki, jego mlecznobiałą zaślinioną brodę*. Wydawało mu się, że gubernator jest niezdecydowany, czy wyjść i trzasnąć drzwiami, czy też podjąć próbę jakiegoś nowego wytłumaczenia. *Uznał, że korzyść, jaką dzięki mnie odniesie, warta jest dalszych wyjaśnień, albo też wzięła górę jego koszmarne słodycz.*

— Jest pewien punkt, drogi przyjacielu, co do którego będziemy zgodni. To będzie naszym oparciem. Dostrzegł pan u mnie niespokojne pragnienie porozumienia się z panem?

Dostrzegł i to go irytowało. Castel ciągnął:

— Będę szczerzy: pokładałem w panu wszelkie moje nadzieje. Potrzebowałem tego, o co tu najtrudniej: kulturalnego współpracownika. Pański przyjazd rozwiązuje problemy, ratuje dzieło. Dlatego powitałem pana z entuzjazmem, który mógł się wydać ekstrawagancki. Niech pan nie wymaga, żebym się tłumaczył; w miarę wzajemnego poznawania będziemy się tłumaczyć, jeden drugiemu, zupełnie otwarcie.

Nevers nie odpowiadał. Castel mówił dalej:

— Wracam do tego, co przyjęliśmy za podstawę naszego porozumienia. Dla większości ludzi — dla biednych, dla chorych i więźniów — życie jest czymś przerażającym. Jest jeszcze jeden punkt, który możemy uzgodnić: że obowiązkiem nas wszystkich jest poprawić ich życie.

Nevers podkreśla: *Podejrzewałem już, że u podstaw niepokoju starca tkwiła jakaś rozmowa o polityce*. Teraz odkrył jeszcze jedną zgrozę: zależnie od tego, jaka byłaby jego odpowiedź, mogliby mówić o polityce albo też zająć się systemem więziennictwa. Nie odpowiadał.

— Mamy możliwość, trudną możliwość, kierowania grupą ludzi. Niech pan popatrzy: jesteśmy praktycznie poza kontrolą. Nieważne, że grupa ta będzie mała, że będzie ginąć wśród tych, których „liczba i nędza nie znają granic”. Nasze dzieło będzie przykładem dla świata. Naszym obowiązkiem jest ocalić trzodę, której pilnujemy, ratować przed jej przeznaczeniem.

Castel wypowiedział tu więcej niż jedną dwuznaczną i alarmującą afirmację; jedynym, co mój siostrzeniec uchwycił, było słowo „trzoda”. Stwierdza, że słowo to rozdrażniło go tak dalece, że aż rozbudziło.

Gubernator powiedział:

— Dlatego sędzę, że i nasz zawód strażników może być pracą wdzięczną.

— Wszyscy strażnicy mogą rozumować w ten sposób — wymruczał ostrożnie Nevers i natychmiast podniósł głos: — A czegoż można by dokonać...

— Ja sędzę, że można. A pan?

Nevers nie zaszczycił go odpowiedzią.

Potem przypomniał sobie, że miał zamiar prosić o pozwolenie wizyty na Wyspie Diabła; gubernator już wyszedł.

## VIII

### 21 MARCA, WIECZOREM

Nevers spacerował brzegiem od strony Wyspy Diabła. Powodem było poszukiwanie ewentualnych przystani dla ukradkowego (i nieprawdopodobnego) desantu. O wiele bardziej bezpiecznym (i bardziej niewykonalnym) byłaby odwiedzić Castela otwarcie.

Był roztargniony. Spoza skał wyszedł Bernheim. Nevers nie był ani trochę zaskoczony: oto znowu to spojrzenie łaszącego się psa. Bernheim poprosił go, by ukrył się wśród skał; słuchając go postąpił nierozsądnie.

— Moje przecucie mnie nie zawodzi — zawołał Bernheim. — Wiem, kiedy mogę komuś zaufać.

Nevers nie słuchał. Dokonał niewielkiego odkrycia: zauważył niemiły kontrast między wyniosłym tonem a niezwykle smutnym spojrzeniem Bernheima. A jednak słuchał:

— Czy jest pan zabawką w rękach Castela?

Odpowiedział przecząco.

— Wiedziałem — wykrzyknął Bernheim — wiedziałem. Zaledwie pana znam, ale zdradzę panu pewną tajemnicę, która odda mój los w pańskie ręce.

Na najwyżej sterczących głazach, o jakieś dwadzieścia metrów dalej, pojawił się Dreyfus. Zdawał się ich nie widzieć; oddalił się ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie niespokojnego morza. Nevers chciał się uwolnić od natręta; powiedział:

— Tam jest Dreyfus — i wspiał się po kamieniach.

Dreyfus nie okazał zdziwienia na jego widok; po chwili wspólnej przechadzki zapytał:

— Widzi pan tę wieżę?

Wieża znajdowała się na Wyspie Diabła; była z drewnianych, malowanych na biało belek, miała jakieś osiem metrów wysokości i kończyła się platformą. Nevers zapytał, do czego służy.

— Do niczego — zapewnił Dreyfus z goryczą. — Żeby niektórzy z nas pamiętali o historii, a inni szydzili. Zbudował ją gubernator Daniel, w 1896 albo 97. Na górze umieścił obserwatora, działo Hotchkisa i jeśli kapitan chciał uciec: ognia!

— Kapitan Dreyfus?

— Tak, Dreyfus. Chciałbym, żeby pan tam wszedł. Stamtąd archipelag wydaje się maleńki.

Nevers zapytał, czy jest krewnym Dreyfusa.

— Nie mam tego zaszczytu — stwierdził.

— Jest wielu Dreyfusów.

— Nie wiedziałem — odparł z zainteresowaniem. — Nazywam się Bordenave. Nazywają mnie Dreyfus, bo mówią, że ciągle opowiadam o kapitanie Dreyfusie.

— Nasza literatura pana naśladuje.

— Naprawdę? — Dreyfus otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się dziwnie. — Może zechce pan obejrzeć małe muzeum kapitana...

Nevers poszedł za nim. Zapytał go, czy urodził się we Francji. Urodził się w Ameryce Południowej. Potem obejrzelni muzeum Dreyfusa. Jest to żółta walizka z fibry, zawiera kopertę listu pani Lucii Dreyfus do Daniela, gubernatora miejsca zsyłek, rękojeść scyzoryka z inicjałami J. D. (Jacques Dreyfus?), kilka franków z Martyniki i książkę: *Shakespeare était-il M. Bacon, ou vice versa* par Novus Ovidius, auteur des *Métamorphoses Sensorielles*, membre de l'Académie des Médailles et d'inscriptions.

Nevers chciał już odejść. Dreyfus spojrział mu w oczy; zatrzymał go; zapytał:

— Nie sądzi pan, że Wiktor Hugo i Zola byli największymi ludźmi Francji?

Nevers pisze: *Zola, no tak: napisał J'Accuse, poza tym Dreyfus jest maniakiem Dreyfusa. Ale Wiktor Hugo... Człowiek, który dla swych zapałów obiera w historii Francji, bogatszej w generałów niż najmniej zauważalna z republik południowoamerykańskich, tych dwóch pisarzy — zasługuje ledwie na przelotny hołd.*

## IX

W noc 22 nie mógł spać. Leżąc przemyślał o rewelacji, o której nie chciał nic słyszeć od Bernheima. Żywił ponure obawy co do jakiejś kary za to, że nie chciał go wysłuchać. Pod wpływem znużenia i egzaltacji wpadł na pomysł natychmiastowej wizyty w czerwonej szopie. Wysiłkiem woli przeczekał do świtu. Zajął się najdrobniejszymi szczegółami tych nieprawdopodobnych odwiedzin: co zrobić, by obudzić się wcześniej po bezsennej nocy; jak rozpocząć rozmowę z Bernheimem; jaki przyjąć stosunek odnośnie do poprzedniego spotkania. O świcie zasnął; śnił. Śniło mu się, że znowu wyjeżdża z Saint-Martin, znowu czuł ból pozostawiania Irène i opisywał ten ból w innym liście. Zapamiętał pierwsze zdanie: *Uległem, oddalam się od Irène, osoby, które mogą uniknąć...* Z reszty fragmentu pamiętał tylko sens; był on w przybliżeniu taki: osoby, które mogły uniknąć jego powrotu, stwierdziły, że jest on nieunikniony. Nie zapomniał ostatniego zdania (mówi, że jak na sen było ono zupełnie poprawne; podejrzewam, że było ono przeświadczeniem jego wątpliwego czuwania): *Ponieważ nie mam powodu, by sądzić inaczej, obawiam się, że już nie wrócę, że nie zobaczę więcej Irène.*

Następnego ranka Dreyfus przyniósł mu dwa listy: jeden od Irène, drugi od Ksawerego Brissac.

Kuzyn przekazywał mu wiadomość, którą Nevers uznał za cudowną: 27 kwietnia zastąpiłby go, co oznaczało, że Nevers mógłby być we Francji w połowie maja. Oznajmiał mu także słowa Irène. Nevers podkreśla, że wcale nie był ich ciekaw. Z pewnością nie były ani ważne, ani niemiłe. List Irène nosił wcześniejszą datę niż list Ksawerego i nie napomykał o poprzedniej wiadomości.

Był szczęśliwy: uznał, że osiągnął stan równowagi. Próbował nawet usprawiedliwiać Pierre'a (przyznawał mu rację: żaden mężczyzna nie był godny Irène, tym bardziej on, *blady gaduła kawiarniany*).

Przypomnijmy sobie wypadki poprzedzające wygnanie do Gujany: zaszły wszystkim wiadome wydarzenia (giną jakieś papiery, które nie są obojętne honorowi i salinom rodziny; pozory wskazują na Neversa); Pierre uwierzył w jego winę; próbował ratować Irène... Nevers rozmawiał z nim i, jak zapewnia, uzyskał jego wiarę. Spędził jakieś piętnaście dni absolutnego szczęścia: wszystko się układało. Potem Pierre zawezwał go; przemawiał bardzo ostro (*być może ukrywając wyrzuty sumienia*) i nakazał wyjechać do Gujany. Jak gdyby wstydliwie dał mu do zrozumienia, że grozi „szantażem”, że wszystko opowie Irène, jeśli on nie okaże posłuszeństwa. Dodał: „Wrócisz za rok i będziesz mógł się ożenić z Irène; przynajmniej będziesz miał moją aprobatę”. Dowodzi to, według Neversa, że Pierre uważał go za niewinnego.

Czym więc tłumaczy fakt wysłania go do Gujany? Omyłkowo. Wykorzystuje wszelkie rodzaje argumentów: rozgłos, który pozostawia po sobie piętno oskarżenia, dość wspomnieć przykład kapitana Dreyfusa (wielu ludzi, którzy nie uważali go za winnego, wzdragają się uznać go za pozostającego poza wszelkimi podejrzeniami); złudzenia, że podróż i surowy tryb życia w Gujanie ukróci jego *odrażającą osobowość kawiarnianego nocnego marksa*; nadzieję, że Irène przestanie go kochać.

Nie tłumaczy też zbyt wyraźnie swego dziwnego postępowania w stosunku do Irène

(nigdy nie wspomniał jej ani słowem o ciemnej sprawie, w którą był wmieszany). To postępowanie pozwoliło na akcję Pierre'a.

Oto jego dosłowna wypowiedź: *Jeśli zdołałem Cię przekonać; jeśli przekonałem Pierre'a, który wołałby mi nie wierzyć, jakaż trudność byłaby z Irène, która przecież mnie kocha? (piszę to z zabobonnym i przesądnym tchórzostwem)... Jedyne usprawiedliwieniem mej przewrotności wobec Irène jest moja głupota i moja przewrotność wobec samego siebie.*

Zdaje się, że Nevers przesłał Irène owe wiersze:

*Chère, pour peu que tu te bouges,  
Renaissent tous mes désespoirs.  
Je crains toujours, -ce qu'est d'attendre! —  
Quelque fuite atroce de vous. \**

Irène robiła mu wymówki (i słusznie), że przesyła jej te wiersze, i to ledwie tylko ją opuścił. Pytała także, czy chce jej dać do zrozumienia, że dystans między nimi ma charakter nie tylko geograficzny (w pierwszym wersie zwraca się do niej per ty, w czwartym już przez pani) \*\*; ale tylko żartem (może z odrobiną pedanterii): *list jest subtelny i olśniewający niczym jego autorka.*

Był szczęśliwy; za miesiąc znikną zmartwienia. Jednakże list Ksawerego dokuczył mu. Dlaczego Irène przesyłała wiadomość przez tego *imbecyla? Możliwe, że użytek zrobiony z tak powszechnego środka łączności da się umotywić jej chęcią nie stracenia okazji, by mnie pocieszyć, powtórzenia, że czeka na mnie i kocha.* Oto była wiadomość. Najważniejsza wiadomość wszystkich listów Irène. A jednak, wyznaje, *w niektórych momentach absurdalnej wrażliwości (i chyba wskutek otoczenia albo klimatu, co tutaj nie jest rzeczą dziwną) poddaje się wstydliwym obawom. Nie powinienem pisać o tych nic nie znaczących doznaniach: wzmiankuję o nich po to, by zawstydzić siebie samego, żeby znikły.*

## X

23 marca Nevers przemierzył Wyspę Królewską i czerwoną szopę — *nie w poszukiwaniu Bernheima ani w poszukiwaniu obiecannej rewelacji*, lecz (uważa za wskazane wyjaśnić) — w ramach wypełniania swych obowiązków.

Tego popołudnia jasność była uciążliwa. Wszystko lśniło: żółte ściany budynków, ziarno piasku w czarnej korze palmy kokosowej, rozmówca w czerwone i białe pasy. Nevers przypomniał sobie niewiarygodny mrok swego pokoju i ruszył niezdecydowanie w poprzek lśniącego dziedzińca.

Zobaczył jakiś cień. Zobaczył, że pod schodami jest jakiś cienisty zakątek; poszedł się schronić. Był tam Bernheim, siedział na wiadrze, czytał. Nevers powitał go z wyjątkową serdecznością.

— Nawet nie jest pan sobie w stanie wyobrazić — odpowiedział Bernheim rozpaczliwie szukając słów — mojego postępu od pierwszej chwili, kiedyśmy się widzieli. Jestem pełen entuzjazmu.

\* *Chère, pour peu...* (fr.) — Najdroższa, ledwie tylko się poruszysz, Odzywają wszystkie me rozpacz. Wciąż się lękam; — oto czym jest oczekiwanie! — Jakiejś okropnej uciezki pani.

\*\* Nie są to wiersze Henri Neversa, lecz Paula Verlaine'a (nota wydawcy).



Błysk jego oczu był łzawy; spojrzenie pełne smutku.

— Na czym polega ten postęp?

— Na wszystkim. Zapewniam pana, że to coś bardzo silnego... życiodajnego... To jakaś pełnia, jakaś więź z naturą, coś niesamowitego...

— Czym się pan zajmuje?

— Szpiegostwem.

— Szpiegostwem?

— Tak, śledzę. Muszę panu powiedzieć. Wie pan, komu zawdzięczam to odrodzenie?

— Nie wiem

— Castelowi.

— Pogodziliście się?

— Nigdy. — Po chwili ciszy oświadczył: — Trzeba służyć *sprawie*.  
Zdawał się oczekiwać odpowiedzi Neversa; nalegał łagodnie:

— Sprawa przede wszystkim.

Nevers nie chciał go usatysfakcjonować. Zapytał:

— Co pan czyta?

— *Teorię kolorów* Goethego. Książka, której nikt nie chce. Dreyfus wypożycza ją za rozsądną cenę.

— Niech mi pan powie, pan był na Wyspie Diabła, co robił Castel ze zwierzętami?

Po raz pierwszy, zapewnia Nevers, jakiś ślad, jakiś kolorowy „cień” ożywił twarz Bernheima. *Był straszny. Myślałem, że zwymiotuje*. Kiedy przyszedł do siebie, powiedział:

— Pan zna moje credo. Przemoc jest dla nas chlebem powszednim. Ale w stosunku do zwierząt...

Nevers pomyślał, że nie zniósłby, żeby Bernheim mdlał w jego obecności. Zmienił temat:

— Pan powiedział, że musimy o czymś pomówić...

— Tak, musimy pomówić. Tu nie; niech pan pójdzie za mną.

Weszli do ustępu. Bernheim wskazał na marmur i powiedział drżąc:

— Przysięgam panu, przysięgam panu na krew wszystkich tu pomordowanych: będzie rewolucja.

— Rewolucja?

Prawie nie słuchał. Pomyślał, że nie jest łatwo ustalić, czy ktoś jest szaleńcem, czy nie.

— Rewolucjoniści przygotowują coś wielkiego. Pan może wszystko pokrzyżować.

— Ja? — zapytał Nevers przez grzeczność.

— Tak, pan. Ale wyjaśnię moją sytuację. Nie działałem na rzecz obecnego rządu... Działam z czystego egoizmu. Pan powie prawdę: że odkryłem spisek. Ale pan pewnie myśli, że oszalałem. Pewnie pan rozgląda się za Dreyfusem, żeby odejść... Jeszcze mi pan uwierzy. Dziś może nie, ale pan mi uwierzy. Pan wskazał mi trop.

— Wskazałem panu trop?

— Kiedy pan mówił o tych „maskowaniach”. Otóż to, ja, który zawsze myślę o wojnie i nie odkryłem, że tu chodzi o kamuflaż! Od tego czasu pana szanuję. Pan pewnie powie, że całe to odkrycie to głupota. Wielkie odkrycia zawsze wydają się głupotami. Ale i tak wszyscy wiedzą, że Piotr Castel to rewolucjonista.

Nevers powiedział:

— Mam dużo pracy.

— Byłem na to przygotowany. Jeśli moje słowa się spełnią, pan mi uwierzy. Castel na Wyspę Diabła sprowadzi Księdza, dziś albo jutro. Niech pan posłucha, to pospolity więzień. Odesłał mnie, a bierze jego; potrzebuje zaufanych ludzi; gotowych na wszystko. Pana wyśle do Cayenne. Są po temu dwa powody: pozbyć się jedyne obserwatora, który mógłby mu przeszkadzać, oraz sprowadzić dynamit.

— Kto go przywiezie?

— Pan, we własnej osobie, i nie będzie pan pierwszym. Pana poprzednik odbył dziesięć kursów do Cayenne. Są tam zapasy zdolne wysadzić archipelag.

Nevers poklepał go po ramieniu i powiedział, żeby zostawił te sprawy na jego głowie. Minął dziedziniec, wszedł do zarządu, przeciął schody i korytarze, wszedł do swego pokoju. Natychmiast poczuł wielką ulgę.

## XI 26 MARCA

Wątpił, czy to, co powiedział Dreyfus, było symptomem czegoś strasznego. Chciał prosić o radę; ale kogo? On sam, ciągle jeszcze przejęty zgrozą pobytu w więzieniu, rozumował błędnie (poza tym doznał lekkiego porażenia słonecznego). Może, kiedy przyzwyczai się do tego życia — myślał — przypomni sobie chwilę, w której wiadomość ta wydała mu się okropną, z ulgą, że już minęła; że minęło już niebezpieczeństwo postradania zmysłów. Niemniej, chociaż nie przywykł do życia w więzieniu (i, nie do wiary, spędzał je tam), starał się nie przywiązywać wagi do uzyskanej od Dreyfusa wiadomości.

Podczas trzech dni poprzedzających wiadomość nie zaszło nic godnego zapamiętania. Dreyfus wydawał się być przygnębiony, smutny (*postanowiłem nie dręczyć go pytaniami*, mówi Nevers; *życie na tych wyspach usprawiedliwia wszelką rozpacz*); Castel zarządził, żeby przysłano mu pewne książki (tę Marie Gaëll o rezonansie dotyku i topografii ośmiornic; jedną angielskiego filozofa Baina, o zmysłach i intelekcie, jedną Marinesco o synestezjach i wreszcie, niczym świt po tyłu mrokach, jakiegoś hiszpańskiego klasyka: Suáreza de Mendoza); Dreyfus przesłał je kolejką linową.

W noc 25 wydawało się Neversowi, że Dreyfus jest bardziej przybity niż poprzednio, potrawy podawał w milczeniu; było to uciążliwe, bowiem rozmowa przy posiłkach stała się już dla nich niewielką i miłą tradycją. Nevers zapytywał sam siebie, czy szanując smutek ordynansa nie pogłębia go tylko, nie sugeruje mu, że czuje się z tego powodu urażony. Nie mógł znaleźć pretekstu dla podjęcia dialogu; w pośpiechu zaproponował temat, którego chciał uniknąć.

— O co oskarżają Bernheima?

— Zdrada.

— Więc jego, a nie pana powinni nazywać Dreyfusem — próbował narzucić temat o przezwiskach, pewniejszy niż temat Bernheima.

— Niech pan nie mówi w ten sposób o kapitanie Dreyfusie — powiedział Dreyfus urażony.

— Jakie są jeszcze tutaj przezwiska?

— Inne przezwiska... no więc jest Ksiądz.

— Kto to jest Ksiądz? — pytał uparcie Nevers.

— Marsillac, taki ze Świętego Józefa. Nazwałem go Księdzem; jest dalekowidzem; widzi tylko z daleka, z bliska zupełnie nic, jeśli nie ma okularów. Nie widzi nawet własnego ciała.

I przypomniał wersy z *Tajemnicy żółtego pokoju*:

*Plebania nie straciła swojego uroku  
ani ogród świetności* \*.

Nevers pogratulował mu pamięci; Dreyfus wydawał się niepocieszony. W końcu wyznał:

— Niech pan patrzy, mówiłem o Księdzu, a właśnie o nim nie chciałem mówić. Od kilku dni chodzi mi to po głowie. Jutro dowie się pan; chyba lepiej, żeby usłyszał pan to ode mnie. Proszę, niech pan nie potępia pana Castela; to wielki człowiek i na pewno ma jakiś powód, by tak postępować. Rozkazał, żeby jutro z samego rana przewieźć Księdza na Wyspę Diabła.

## XII 27 MARCA

Gubernator zaskoczył go. Niedosłyszalnie wszedł do gabinetu. Nevers usłyszał bardzo blisko, na karku, ostre krzyki i doznał uczucia lęku związanego z odległym wspomnieniem znalezienia się nagle twarzą w twarz z jakimś osobnikiem w masce.

— Co pan czyta?

— Plutarcha — nie było sensu ukrywać.

— Dlaczego pan traci czas? Kultura nie powinna być sposobem obcowania z ludźmi prymitywnymi — zawyrokował głosem kukielki. — Adeptci filozofii ciągle jeszcze hołdują dialogom Platona, a bardziej wyrafinowani czytelnicy zaśmiewają się z żartów Moliera o lekarzach. Przyszłość wydaje się czarna.

— Czarna i „zamaskowana” — podsunął chytrze Nevers.

Zapadła cisza. Nevers wiedziony słabością kontynuował:

— Ta książka mnie interesuje. Mówi o symbolach.

— O symbolach? Może. Ale nie sądzi pan, że po tysiącu ośmiuset latach temat się wzbogacił?

Naturalnie, oświadcza Nevers, Castel nie przyszedł mówić właśnie o tym. Podjął ten temat dla wszczęcia rozmowy. Przez chwilę przerzucał w roztargnieniu kartki *Traktatu o Izydzie i Ozyrysie*. W końcu zapytał:

— Co pan myślał o naszej ostatniej rozmowie?

— Raczej niewiele.

— Skoro pan nic nie myślał, to dlatego, że więzienie najwyraźniej się panu nie podoba — powiedział gwałtownie Castel. — A skoro nie podoba się panu więzienie, nie powinien pan brać za złe tego, co myślę.

— Czy ja wiem — nie miał ochoty na dyskusję. — Być może pańskie zdanie jest bardzo słuszne, ale wydaje mi się, że zajmowanie się takimi sprawami oznacza w pewnym sensie współnictwo. Wolę wypełniać me powinności mechanicznie.

— Mechanicznie? I to ma być posłannictwo młodego człowieka? Gdzie pańska młodość?

Nevers nie wiedział, co odpowiedzieć. A tamten ciągnął:

— Młodość jest rewolucyjna. Ja sam, choć stary, wierzę w działanie.

— Jest pan anarchistą?

Castel nadal patrzył mu w oczy, czule, niemal płaczkliwie, póki Nevers nie odwrócił spojrzenia. *Niewątpliwie gubernator zrozumiał, że posunął się za daleko, ale mówił dalej, swym niewzruszonym i krzykliwym głosem:*

\* Przezwiśko „Ksiądz” opiera się na nieprzetłumaczalnej grze słów: „présbita” (hiszp.) — dalekowidz, „presbiterio” — prezbiterium, plebania.

— Nie wiem. Nie zajmowałem się polityką. Nie miałem czasu. Wierzę w podział pracy. Politycy wierzą w reformę społeczeństwa... Ja wierzę w reformę jednostki.

— Na czym to polega? — zapytał Nevers udając zainteresowanie. Wydało mu się, że jest na tropie.

— Przede wszystkim wykształcenie. Wtedy można osiągnąć nieskończoną ilość przemian.

Gubernator zapewniał, że on, Nevers, nie ma pojęcia o możliwościach pedagogiki: mogła nieść pomoc chorym i więźniom. Natychmiast wyznał, że potrzebuje współpracownika:

— Moglibyśmy dokonać niewiarygodnych rzeczy. Niech pan zrozumie moją tragedię: jestem otoczony podwładnymi, ludźmi, którzy błędnie interpretowaliby moje plany. Samo prawodawstwo karne jest niejasne; więzienie jako kara dla przestępcy nadal dominuje w Europie. Teraz już nie tylko żyjemy jak w koszarach, mówimy jak automaty; powtarzamy: *kara jest prawem przestępcy*. Nie muszę chyba panu mówić, że moje cele są przeciwne tej doktrynie zza Renu.

Nevers uznał, że nadeszła już pora zemsty. Oświadczył drżącym głosem:

— Współpraca z panem nie interesuje mnie.

Castel nie odpowiedział. Patrzył spokojnie w dal, jakby ściany nie istniały. Wyglądał na zmęczonego; jego cera nabrała ołowianego koloru. Czy czuł się tak, kiedy wchodził, czy też było to skutkiem repliki Neversa? Wydawał się zupełnie innym człowiekiem niż ten, który rozmawiał z Neversem 9 marca.

Słyszałem, że podobne zmiany występują u ludzi zażywających opium albo morfinę. Nevers przyznaje, że ten człowiek, w którym chciał widzieć kogoś odrażającego, wydał mu się bardzo stary i niemal godny szacunku; gotów był uwierzyć, że rewolucja byłaby czymś dobroczynnym, i zaofiarować mu swą pomoc. Potem przypomniał sobie o Irène, o decyzji nierobienia niczego, co mogłoby opóźnić jego powrót.

Castel stał jeszcze przez kilka posepnych minut udając zainteresowanie Plutarchem. Chyba nie chciał odejść zbyt brutalnie i wyglądać na urażonego. W końcu wykonał jakiś gest przygnębienia, może pożegnania, uśmiechnął się i wyszedł. Nevers nawet mu nie współczuł.

### XIII

#### 28 MARCA

Pewne wypowiedzi gubernatora dopuszczały dwojaką interpretację: zgodnie z pierwszą rewolucja miałaby charakter pedagogiczny. Nevers, już całkowicie zbłąkany, nie waha się oświadczyć, że woli drugą z możliwych interpretacji: bunt więźniów. Ale gubernator nie wspominał mu o podróży do Cayenne. Bezstronny obserwator nie dostrzegłby chyba potwierdzenia prorocत्व Bernheima.

Ponadto, jak usytuować w schemacie buntu „maskowania”? Wywołanie powstania i dalszy pobyt na wyspach byłby szaleństwem. A jednak, rozmyślał Nevers, „maskowanie” sugeruje obronę. Wobec tego nie należy się niepokoić: Castel jest szaleńcem.

Było też inne wytłumaczenie. „Maskowania” miały stanowić obronę przed atakiem *podczas* przewrotu (jeśli cała rzecz nie dokonałaby się w należyтым tempie). Potwierdzeniem wydawał się fakt, że gubernator nie „maskował” innych wysp. Gdyby nosił się z absurdalnym zamiarem powstania na wyspach i założenia jakiejś republiki komunistycznej, „maskowałby” całe terytorium.

Castel zdawał się ignorować przyszły wyjazd Neversa. Bo jeśli nie, po co mówiłby mu

o swych tajemnych planach? Z pewnością tak bardzo był nimi zajęty, że nawet nie czytał listów (jeśli zastępca Neversa jest już w drodze, gubernator na pewno byłby o tym powiadomiony). Kolejne wytłumaczenie stwierdzałyby, że gubernator przygotowuje zamach na datę wcześniejszą niż przyjazd Ksawerego.

## XIV

### 3 KWIETNIA

Spod okapu szopy-magazynu Nevers patrzył w roztargnieniu na więźniów, którzy pojawiali się i znikali we mgle, w wielkich słomkowych kapeluszach i bluzach w białe i czerwone pasy. Chmury rozstały się nieco i dostrzegł już z daleka, że w jego kierunku podąża jakiś człowiek. Potem znów się zachmurzyło i człowiek pojawił się obok niego. Był to Dreyfus.

— Niech pan uważa, panie poruczniku.

— Sądzi pan, że zechcą wykorzystać tę mgłę?

— Nie. Nie ich miałem na myśli — powiedział Dreyfus nie okazując zdziwienia. — Myślałem o mgle: cała Europa, tak ją nazywamy, bo ich zabija.

Umilkł, jakby po to, by nie uronić efektu swej wypowiedzi; następnie kontynuował:

— Przyjeżdżam z Wyspy Diabła; pan gubernator dał mi tę wiadomość dla pana.

Wręczył mu kopertę. Nevers pozostał wpatrzony w Dreyfusa, z zapomnianą kopertą w ręku, nie mogąc zdecydować się na pytanie, co nowego dzieje się na wyspie. Dreyfus również patrzył na niego spod oka. Nevers przypisywał to jego ciekawości w związku z przesyłką. To nakazywało mu nie zadawać żadnych pytań, aby nie czynić zadość ciekawości Dreyfusa. Ale nie mógł powstrzymać swojej własnej. Przeczytał list. Zadowolili się nagłym zwrotem w jego stronę, zaskoczeniem go wzrokiem i jego zmieszaniem. Potem powiedział obojętnie:

— Zdaje się, że pojedę do Cayenne.

— Po prowiant?

Nevers nie odpowiedział.

— Zgadłem — zawyrokował Dreyfus.

Nie pytał go, w jaki sposób odgadł. Zaczął podejrzewać, że słowa Bernheima były, przynajmniej częściowo, prawdziwe.

— Jak tam prace przy malunkach gubernatora?

— Zakończone. Cele wypadły bardzo dobrze.

— Malowano cele?

— Tak, w skośne paski.

— Co poza tym nowego na wyspie?

— Biedny Ksiądz miał atak cholery. Tak nagle, kiedy już miał lepsze warunki... Znaleźli go toczącego pianę, z oczyma wychodzącymi z orbit.

— I umrze?

— Nie wiem. Dziś leżał bez zmysłów, ale krzepki i rumiany jak nigdy. Gubernator i pan De Brinon wierzą, że da się go uratować. Lepiej już byłoby, żeby umarł.

Nevers zapytał, dlaczego tak mówi. Dreyfus opowiedział historię Księdza:

Ksiądz był drugim oficerem na „Grampusie”, który zatonął na Pacyfiku. Na pokładzie było siedemnastu ludzi. Kapitan odpłynął w łodzi wraz z pięcioma, pierwszy oficer z dalszą piątką, a Ksiądz z pozostałymi czterema. Łodzie miały się trzymać w zasięgu wzroku. Trzeciej nocy Ksiądz zgubił tamte dwie. Po tygodniu kapitan i pierwszy oficer, spragnieni i bliscy obłądu, dopłynęli ze swymi ludźmi do wybrzeży Chile. Po czternastu dniach statek angielski,

„Toovit”, odnalazł Księdza: przebywał na wyspie guana, w ruinach opuszczonej latarni, sam, wymachując nożem, zaciekle atakowany przez mewy. Próbował atakować Anglików. W infirmerii statku majaczył; widział potwory i mewy, białe mewy, okrutne i nieustanne. Na klindze noża była zaschła krew. Poddano ją analizie: była ptasia i ludzka. Ksiądz nie pamiętał swego przybycia na wyspę ani dni na niej spędzonych. Nie było przeciwko niemu żadnych dowodów poza zniknięciem towarzyszy i zaschłą krwią. Jeśli Ksiądz ich zabił — argumentował Maître Casneau — dokonał tego w przystępie szaleństwa. Ale uprzednia karalność — słynna bójka bywalców Casino de Tours w 1905 — i gorliwość młodego prokuratora u progu obiecującej kariery dopełniły sprawy.

— Co to były za potwory? — zapytał Nevers.

— Halucynacje.

— A mewy?

— Prawdziwe. Gdyby nie ruiny latarni, zjadłyby go żywcem.

Nevers poszedł do swego gabinetu. Trzy godziny lektury oddaliły wszelkie zmartwienia. Za parę dni wyjedzie do Cayenne. Jeśli będzie rozważny, znajdzie się z dala od komplikacji hipotetycznej rebelii Castela. Ksawery byłby tu właściwym człowiekiem: walczyłby, karał, rozkazywał. Wnioskował: jeśli tylko nie zapomni, że jego jedynym celem jest wyjść z tego przekłętego epizodu w Gujanie, powróci szybko do Francji, do Irène.

Potem przypomniał sobie wiadomości uzyskane od Dreyfusa. Skoro Ksiądz miał atak cholery, na wyspach panowała zaraza. Uświadomił sobie grozę sytuacji.

## XV

### 5 KWIETNIA

*Nie w tym rzecz, żebym nie zaglądał na Wyspę Diabła, żebym nie podejrzewał, co się tam dzieje; chodzi o to (Nevers uważał, iż jest w posiadaniu niezbitych dowodów), by wprowadzić mnie w błąd, spowodować wizje i zwodnicze lęki. Już nie pamiętał o groźbie zarażenia. Nie było chorych na cholere. Nie było zarazy. Niebezpieczeństwo stanowił bunt.*

Wyjaśnia, jak doszedł do tego odkrycia: żeby zapomnieć o cholercze, starał się myśleć o rzeczach przyjemnych: alei w Fontainebleau w jesieni; o twarzy Irène. *Były przejrzyste niczym odbicia w wodzie; poruszając jej powierzchnię udawało się na chwilę odkształcić potwora czyhającego bez przerwy na dnie.* Potem rozważał: jako że powinienem jednak myśleć o chorobie, należało ją studiować, zapobiec jej. Odnalazł książkę o chorobach tropikalnych; daremnie przebiegał spis treści: słowa „cholera” tam nie było. Potem zrozumiał, że w książkach jak ta choroby figurowały pod swymi bardziej potocznymi nazwami; przypomniał sobie, że dla takich jak on laików cholera nosi nazwę „czarnej zarazy”. Bez trudu odnalazł rozdział. Przeczytał go. Przypomniał sobie, że czytał już o tym na pokładzie. Dokonał *odkrycia*: symptomy przypisywane Księdzu nie były objawami cholery. Wychodzące z orbit oczy były czymś niezrozumiałym, toczenie piany czymś niewiarygodnym, a rumiany i krzepki wygląd wręcz niemożliwością.

Kiedy spotkał Dreyfusa, zapytał go:

— Kto powiedział, że Ksiądz miał atak cholery?

Dreyfus nie zwlekał:

— Pan Castel.

Nevers chciał powiadomić go o swoim odkryciu. Zawahał się. Z dnia na dzień Dreyfus cenił go coraz bardziej; ciągle jednak był bałwochwalczym wielbicielem Castela. Ponadto

Dreyfus był słabo zorientowany: nie wiedział, o co oskarżono kapitana Dreyfusa, podziwiał Wiktora Hugo, gdyż mylił go z Wiktorem Hugues, bukanierem, pierwszym gubernatorem kolonii... Nevers dodaje: *Nigdy nie wierzyłem w jego ironię. Tkwi ona raczej w jego rysach (jak u wielu wieśniaków). Można by mu przypisywać lekkie a permanentne zatrucie liśćmi jaskra.*

A jednak był spokojny. Bunt nastąpi pod jego nieobecność. Dreyfus przyniósł mu listę rzeczy, które miał zakupić w Cayenne: nie było tam dynamitu ani niczego, co mogłoby uchodzić za dynamit. *Castel chce mnie oddalić, aby nie mieć świadków ani oponentów. I nie będzie ich miał* — dodaje stanowczo. *Wyznaczył mój wyjazd na 8. Żałuję, że nie na dziś. Nie nadaję się na bohatera tych katastrof...*

Dokonuje kilku „refleksji” (język jest — rzecz jasna — nieściśły, metaforyczny), które wahać się powtórzyć. Ale jeśli nawet zmniejszam wierność niniejszej relacji, osłabiam tym samym jej skuteczność wobec ludzi niezyczliwych i oszczerców. Wierzę ponadto, że nie wpadnie ona w ręce wrogów Neversa. Bo mówi on także: *W myśli pochwalam i popieram każdy bunt więźniów. Ale w obliczu tak niespodziewanych faktów... należałoby być stworzonym do działania, umieć — wśród krwi i strzelaniny — podjąć właściwą decyzję.* Nie zapominał o swych obowiązkach: badać, czy Castel przygotowuje bunt; zdławić go; oskarżyć Castela. Ale, musimy to przyznać, nie był urzędnikiem z krwi i kości. *Każdy mężczyzna winien być gotów na śmierć z wielu powodów, w każdej chwili, jak rycerz* — pisze. *Ale nie z powodu wszystkiego. Nie żądajcie ode mnie, żeby ni stąd, ni zowąd wszystko to wzbudziło moje zainteresowanie, pomieszało szyki i żebym zginął w jakiejś tam rebelii w Gujanie. Z niecierpliwością oczekiwałem dnia wyjazdu.*

## XVI 7 KWIETNIA

Niewiarygodna możliwość ucieczki: otóż i jego zmartwienie. Zrezygnował z dalszych poszukiwań. Nie chciał stwarzać sobie komplikacji. Niecierpliwość, aby nadszedł już 8, ciągle się zwiększała; *wczoraj, a zwłaszcza dziś, było to nieznośną, upartą obsesją. Teraz wszystko się zmieniło.*

Obudził się ze sjęsty i obok łóżka, w bezpośredniej bliskości (ponieważ został wyrwany z bezosobowego i głębokiego letargu), napotkał Dreyfusa. Ten zaś powiedział:

— Mam dla pana dwa listy; od pana gubernatora.

Jeden był zaadresowany na jego nazwisko; drugi do jakiegoś Leitao z Cayenne. Otworzył pierwszy. Zawierał krótką notkę w sprawie zakupu okularów, według załączonych wskazówek.

— Dla kogo te okulary? — zapytał.

— Dla Księdza — odpowiedział Dreyfus.

To oznaczało, że był oczekiwany, że okropne przeznaczenie, którego zdawał się uniknąć, groziło mu nadal.

Dreyfus powiedział swym niezwykle łagodnym tonem:

— Zna pan ostatnią nowość? Opuszczam pana.

— Pan mnie opuszcza?

— Pan gubernator zarządził moje przenosiny na Wyspę Diabła. O piątej zabiorę moje rzeczy.

Do odejścia Dreyfusa brakowało dwóch godzin. Nevers obawiał się obłąkańczych my-

śli; podejrzewał, że nawet osoby tak ograniczone, jak Dreyfus, są w stanie zniweczyć wszystkie jego dowody, niezbite dowody narodzin buntu. Ale rozmówić się z nim, czyż nie byłoby to szaleństwem?

Tymczasem Dreyfus wyznał mu ideał swego życia: pojechać do Buenos Aires. Jacyś brazylijscy przemytnicy mówili mu, że w Buenos Aires za parę centymów *człowiek odbywa spacer tramwajem, po całym mieście*.

Nie wiedział, co postanowić, a do odejścia Dreyfusa brakowało już niewiele.

## XVII

W międzyczasie dokonam wstawki innego dokumentu, który być może wyjaśni pewne punkty mego opowiadania; chodzi o list przysłany mi przez mojego siostrzeńca, Ksawerego Brissac (tego który zastąpił Neversa na Wyspach Zbawienia); jest datowany 8 kwietnia 1913, z pokładu transportowca „Ularius”, w drodze do Gujany.

*Bez żadnych złych intencji, wiedziony Twą namiętnością, nie, wiedziony przez innych, którzy namiętnie spoglądali na wszystko przez pryzmat nienawiści, oskarżyłeś Twego brata Pierre'a i mnie, oczerniłeś nas. Co się stało? Chciałeś, żeby Henryk, Twój protegowany, mógł wyjechać z Gujany, i przypuszczałeś, że jego rozpaczliwa korespondencja wzruszy, być może, Pierre'a. Nie wzruszyła go. A jednak zawezwał mnie; spytał, czy przyjąłbym stanowisko; przyjąłem; i Pierre, sławny marynarz, w wieku lat osiemdziesięciu pięciu, niczym w czasach młodości, bez lęku stawiał czoła politykom i biurokratom; uzyskał dla mnie nominację, więc wyjeżdżam w zastępstwie Twego protegowanego Henryka; do piekła. Czym nam się za to odpłacasz? Oskarżasz żartem Pierre'a; mnie — poważnie.*

*Choć zarzut, który mi postawiłeś, jest bardzo ciężki, zacznę od odparcia tego, co powiedziałeś pod adresem Pierre'a, ponieważ on jest głową rodziny i ponieważ ja nie jestem literatem ani rozkoszonym przedstawicielem bohemy, lecz kapitanem fregaty Ksawerym Brissac — który był prawdziwym porucznikiem marynarki i ma również zamiar być prawdziwym kapitanem — synem swojej Ojczyzny i Rodziny, tak jak należy.*

*Z całym szacunkiem, niemniej jednak stanowczo, oświadczam, że moja podróż nie stanowi dowodu „tej chorobliwej manii Pierre'a wysyłania siostrzeńców na Wyspę Diabła”. Jest dowodem . . . . .*

*Po przeczytaniu listów Pierre okazał pewne oznaki zmęczenia; ale nie wzruszenia. Nie sądzi, iżby te listy świadczyły o alarmującym stanie psychiki Henryka; mówi: „Niepokoić się teraz, i to akurat z powodu tych listów? Jego psychika od dawna już mnie niepokoi i zaczynam się przyzwyczajać do tego stanu rzeczy”. Ale wie, że jeśli Henryk powróci, doznasz satysfakcji; natychmiast więc podjął walkę, niewdzięczną walkę o uzyskanie zastępstwa. Nie przeszkadza mu świadomość, że owocem tych wysiłków będzie poważna redukcja kary, którą on sam wyznaczył; zda się wierzyć, że przyniosą one pojednanie. Twój powrót do domu w Saint-Martin i ostateczne porzucenie tego, co nazywa „idiotycznym wygnaniem w zrujnowanych salinach Saint-Pierre”.*

*Dlaczego postanowił, żeby to ja zastąpił Henryka? Nie oszukuj się, to nie „mania”...; uważa, że w cieniu tego czcigodnego gubernatora kolonii i ja . . . . .*

*Nadeszła pora, by odeprzeć drugie z kolei oszczerstwo. To kłamstwo, że byłem autorem obietnic swego ożenku z Irène, to jej wymysł; to nieszczęsne kłamstwo, że wyjeżdżam na*



Wyspę Diabła, by znęcać się nad Henrykiem. Wyobraź sobie moją sytuację: muszę znieść tę kalumnię nie mogąc zawołać: Zapytaj Irène! Poprzysiągłem Irène, że nie powiem nic aż do powrotu Henryka, aż ona wszystko osobiście mu wytłumaczy. Ona boi się, że wiadomość usłyszana od kogoś innego nazbyt mocno go zrani. I jeśli Ty byś mu o tym powiedział — a ja nieobecny nie mógłbym się bronić — byłby przekonany, że nie zależy mi na tych subtelnościach. A jednak zmartwienie Irène tak dalece stało się moim, że pragnąc naszej idealnej wzajemności zastanawiałem się niekiedy, czy mam dochować absolutnej wierności mej przysiędze. I w efekcie, jeśli celem jest uniknięcie nadmiernych cierpień Henryka, czy mam pozwolić, żeby całkiem na ślepo, marząc o szczęściu powrotu do swej ukochanej, spotkał się z rozczarowaniem? . . . . .

Mówiłeś, że będę znęcać się nad Henrykiem. Że moje szlachetne uczucia są tylko pretekstem, że naprawdę chodzi tylko o rozkosz bicia powalonego. Nie oczekuj ode mnie, że wybaczę autorowi tych oszczerstw. Wiem, że nim nie jesteś. Wiem, że powtarzałeś to, co Ci mówiono. Wiem także, że odkryję, kto to powiedział: niewielu mnie wtedy słuchało. Znam wszystkich. Byli to członkowie naszej rodziny. Dlatego też sądziłem, że można im zaufać. Zapomniałem, że właśnie dlatego nie powinienem do nich mówić. W naszej rodzinie nie ma już ludzi wolnych: są narzędzia Pierre'a, narzędzia Antoine'a, narzędzia nienawiści. Zapomniałem. Nie mogę się przyzwyczaić do życia w ciągłej wojnie.

Dlaczego odchodzę?

Bo tak nakazuje Pierre, ponieważ Ty pragniesz powrotu Henryka; ponieważ Henryk pragnie wrócić. (Nie akceptuję u Henryka faktów i myśli. Ale go nie nienawidzę, jak insynuujesz). Jeśli nie odejdę, wszystko zostanie tak jak dawniej; jesteśmy upartą mniejszością ochotników tropiku, więzienia, cholery. Nie mam na uwadze żalonych zwyczajów ani też nie odchodzę w zaślepieniu. Zdaję sobie sprawę z mego poświęcenia (o którym Ty — mówię to z goryczą — chcesz zapomnieć). To, co było torturą dla Henryka, który uważał się za kochanego, jakich okropności nie oszczędzi temu, który jest kochany naprawdę? Mam pewną pociechę: mnie czeka wszystko, jego — nic.

Tak jak Ci już mówiłem, przyjadę do Cayenne 28, a nie 27. Chciałem uwolnić was wcześniej: jego — od sprawiedliwego wygnania, Ciebie — od jego niesprawiedliwej korespondencji. Ale straciliśmy trzy dni przy naprawie kadłuba. Mam nadzieję, że nie będzie już więcej opóźnień.

Jeszcze raz czytam ten list. Trzeba Ci będzie wiele cierpliwości, żeby go znieść. Ja, pełen poszanowania dla autorytetów, wzywam Cię do odłożenia Twych przekonań i wysłuchania moich rad. Ja, najgorszy z Twych siostrzeńców, proszę Cię, byś w naszych uczynkach w związku z zastąpieniem Henryka dopatrywał się wyłącznie szczyrych intencji. Nie wiem, czy zdołasz je dostrzec. I nie wiem, czy wolno prosić kogoś, aby nie spoglądał na sprawy poprzez pryzmat swoich namiętności . . . . .

We wszystkim, co robi Pierre — mówię to z goryczą — skłonny jesteś widzieć złe zamiary; we wszystkim, co robię ja — tym razem stwierdzam bez goryczy — skłonny jesteś widzieć jego złe zamiary. Jednak zaklinam Cię na naszą rodzinę, na ogrom jej bólu. Opuść na zawsze saliny Oléron. Nie kieruję się tu egoizmem: to zły interes. Jak powiedziałby Pierre, szukałeś azylu we wraku. Wracaj do naszych pomyślnych salin w Ré. Co do mnie, którego czekają niedostatki Wyspy Diabła, cierpieniem, które już mnie dręczy, jest wyrzeczenie się szarej soli naszego domu.

Ach, mój drogi Antoine, jakże przykry jest rozbrat w rodzinie! Dla dobra wszystkich, dla dobra tego małego płomyka, którego nasze pokolenia winny strzec i przekazywać, ponieważ Saint-Martin, chef de canton, patrzy na nas i tego żąda dla swego spokoju, niech nastanie kres wzajemnej nieufności. Jako francuski oficer, jako członek naszej starej rodziny...

I tak dalej.

## XVIII 8 KWIETNIA

Jedzenie, które podawał następca Dreyfusa, było nieszczególne; kawa nędzna. Ale Nevers był spokojny. Objawy, które go dręczyły, *okazały się błahe*. Przypisywał swe obsesje klimatowi, oparom zarazy i delirycznemu słońcu, a także Bernheimowi, *temu śmiesznemu wariatowi*.

Był nie tylko spokojny; był znudzony. Ażeby pozbyć się nudy, chciał porozmawiać z Bernheimem. To prawda, że niektóre z jego przepowiedni spełniły się, ale nie te najważniejsze, które przy jednoczesnym, tajemniczym i podejrzanym działaniu Castela wskazywałyby na możliwość terroryzmu: nie było żadnego rozkazu w sprawie zaopatrzenia w dynamit: *a jeśli takowy nie nadejdzie dziś, nie nadejdzie w ogóle, ponieważ gubernator sądzi, że tego wieczoru wyjadę do Cayenne*. Zamierzał pozostać tam do 14 lub 15. Przyczyną zwłoki był fakt, że do 27 brakowało już niewiele, ponadto Nevers chciał, żeby jego powrót na wyspy pokrywał się z przyjazdem Ksawerego Brissac. Wyjaśnia: *Jeśli gubernator faktycznie żywi jakieś rewolucyjne zamiary, lepiej będzie, żeby sprawa znalazła się w rękach mego kuzyna*. Uważał, że nie ma się czego obawiać. A jednak nadal miał się na baczności.

## XIX 11 KWIETNIA

O ósmej wysiadł w Cayenne. Pisze: *To miasto, w którym przebywa niewielu więźniów, wielu osiedleńców, a nawet ludzi wolnych, jest istnym rajem na ziemi*. Naprzeciwko targu spotkał panią Frinziné i jej córkę; zaprosiły go na obiad. Zgodził się, ale mówi, że był niezbyt uprzejmy, i szuka usprawiedliwienia powołując się na konieczność kąpieli i zmiany ubrania. Stanowiłoby to jakieś wytłumaczenie, gdyby odbył podróż drogą lądową; w wypadku podróży morskiej nie miało to znaczenia.

Poszedł do pałacu i polecił Legrainowi przygotować kąpiel. Ten zaś odpowiedział mu *całkiem po prostu*, że odcięto dopływ wody i aż do jedenastej nie będzie mógł się wykapać.

Był tym tak przygnębiony, że nie potrafił zająć się żadną sprawą urzędową. Podobnie jak *nie mógł* czytać, ponieważ książki były w walizach; zapomniał prosić Legraina, żeby je rozpakował, i *nie miał ochoty otwierać ich sam ani go wołać*.

O pół do dwunastej zajrzał Legrain i powiedział, że woda już jest. Nevers dał mu klucze, żeby otworzył walizki i wyciągnął ubrania. Stwierdził, że ma tylko jeden pęk kluczy: brakowało tych od archiwum i od magazynu broni. Chyba nowy ordynans schował je do walizek. Nie mógł ich szukać. Musiał się wykapać i ogolić: państwo Frinziné jadaliby obiady punkt dwunasta.

Przyznaje, że spotkanie u państwa Frinziné było sympatyczne. Karolina recytowała poematy Ghilla. Nevers zapamiętał fragment:

*Autour des îles les poissons-volants  
s'ils sautent, ont lui du sel de la mer:  
Hélas! les souvenirs sortis du temps  
ont du temps qui les prit le goût amer... \**

Potem, w towarzystwie rodziny Frinziné, w nieustannym skwarze, obiegi sklepy Cayenne. Zakupił prawie wszystko, co mu polecono; gwoli usprawiedliwienia spóźnionego powrotu zapomniał o niektórych rzeczach (między innymi o okularach dla Księdza).

*Podaję, iż jestem w błędzie przypuszczając, że tajemnicze wydarzenia na Wyspie Diabła mają charakter polityczny i rewolucyjny, pisze. Możliwe, że Castel jest czymś w rodzaju doktora Moreau. Mimo wszystko trudno mu było uwierzyć, żeby rzeczywistość była tak bliska powieści fantastycznej. Chyba ostrożność, która nakazuje mi pozostać tutaj aż do 27, jest pozbawiona sensu.*

O piątej, przytłoczony upałem, z początkami porażenia słonecznego, zdołał się wyknać panu Frinziné. Poszedł do ogrodu botanicznego i odpoczywał pod drzewami. Do pałacu wrócił już dobrze po zmroku. Rozmyślał z bólem o Irène.

## **XX**

### **NOC Z 10 NA 11 KWIETNIA**

Notuje: *Nie sposób zasnąć.* Zadręczał się z powodu tak niefrasobliwego podejścia do sprawy zapomnianych kluczy. Bo jeśli więźniowie je odkryją: pożary, bunt, sąd, gilotyna albo wyspy, aż do śmierci. Nie zastanawiał się, w jaki sposób zapobiec tym okropnościom: już widział się przed sądem wojennym, jak z wysiłkiem i bez sensu odpiera oskarżenia.

Dla własnego spokoju postanowił wysłać telegram. Cóż należałoby sądzić o funkcjonariuszu więzienia, który zapomina kluczy i powiadamia o tym w telegramie? Postanowił wysłać list. *Obliczyłem pracownicy, że „Rimbaud” nie odpłynie wcześniej jak za pięć dni.* Poza tym już zaskarbił sobie wrogość gubernatora. Więc czy to rozsądne pisać do niego taki list? Postanowił napisać do Dreyfusa. Ale jeśli Dreyfus uzna za stosowne otworzyć sobie drogę z bronią w rękę i uciec? Byłoby to następstwo chyba bardziej naturalne niż potajemne zamknięcie magazynu (i wyrzeczenie się nagrody)...

O świcie nieco się uspokoił. Postanowił spędzić jeszcze jeden dzień na wypoczynku w Cayenne. Powrót na wyspy byłby niczym nawrót choroby. A tam może oczekują go sytuacje zdolne zmienić, zniszczyć jego życie.

Jeśli dotąd nie znaleźli kluczy, rozmyślał, dlaczego miałby je znaleźć akurat dziś? Klucze z pewnością leżały ukryte w szufladzie jego biurka; podróż byłaby bezcelowa. W każdym razie może wyjechać następnego dnia.

O tym, co robił 11, nie mamy żadnych doniesień. Wiemy tylko, że o zmroku wypoczywał pod drzewami ogrodu botanicznego.

\* *Autour des îles...* (fr.) — Wokół wysp latające ryby / skacząc rozbłyskują morską solą. / Niestety! Wspomnienia wydobyte z czasu / mają owego czasu gorzki smak.

## XXI NOC 11 KWIETNIA

Spędził noc oczekując nadejścia świtu, by móc odjechać. Jego zachowanie wydawało mu się niepojęte. Być może jemu wydawało się niepojęte (zapytywał sam siebie z pogardą) dlatego, że nie mógł zasnąć? I nie zdołał zasnąć z powodu swego zachowania, czy ze strachu przed bezsennością? Jeśli istniałoby choć najmniejsze prawdopodobieństwo, że wskutek owej zwłoki ryzykuje utratę Irène (swej przyszłości z Irène), pozostanie tu uznałby za rzecz niewybaczalną. Starał się zachować trzeźwą świadomość sytuacji; miał świadomość aktora recytującego swoją kwestię.

Postanowił wstać: odnajdzie motorówkę — „Bellerophona” — i w środku nocy popłynie na wyspy. Przybyłby niepostrzeżenie; może zdołałby udaremnić bunt. Noc była o wiele lepsza, nawet jeśli wyspy byłyby już w rękach buntowników. Zaczął wstawać. Przewidywał trudności związane z opuszczeniem pałacu; drzwi były pozamykane, należałoby pukać. Czy miał udzielać wyjaśnień? I jak uniknąć tego, żeby na drugi dzień nie snuto domysłów, nie rozpowiadano o jego dziwnym odejściu? Wyjście przez okno było niemożliwe: istniało niebezpieczeństwo, że go zaskoczą i rozpoznają albo nie rozpoznają i wpakują kulę. Przewidywał także trudności ze strażnikami w porcie, gdy zechce wziąć „Bellerophona”.

Zadawał sobie pytanie, czy na wyspach panuje zwykła, okropna cisza i czy nie spowodowałby swoim przybyciem zamieszania, *może nawet jakiegoś wystrzału*; wyobrażał sobie usprawiedliwienia, nieuniknione wyznania wobec Castela. Ale gotów był pójść: chciał rozplanować swoje działanie i mieć wyjaśnienie na każdą z możliwych okazji. Nieodparcie pograżał się w wyobraźni: widział siebie, jak walczy na wyspach; wzruszała go lojalność Dreyfusa, potem z kolei stawiał mu retoryczne zarzuty zdrady; to znów Bernheim, Castel i Karolina Frinziné powtarzali mu ze śmiechem, że ta niedorzeczna eskapada całkowicie go dyskredytuje i gubi; albo rozmyślał o Irène i zadreślał się bezustannymi protestami miłości i skruchy.

Usłyszał jakieś odległe nawoływania. Byli to deportowani, ze swymi wielkimi wozami zaprzęzonymi w woły, wywożący śmieci. Poczuł chłód: był bardzo jeszcze niepewny świt. Gdyby poczekał choć chwilę, jego wyjazd nie dziwiłby nikogo.

## XXII 12 KWIETNIA

Obudził się o dziewiątej. Był zmęczony, ale odzyskał już sprawność: podróż była bezcelowa; prawdopodobieństwo, że dzieje się coś straszego — niewielkie. Klucze są w jego biurze; zachodziło tam bardzo niewielu strażników, więźniowie nie zaglądali nigdy i było zupełnie możliwe, że klucze leżą w szufladzie biurka: szuflady jego biurka były zamknięte; osoba, która natrafiłaby na klucze, musiałaby stwierdzić, że należą do archiwum i magazynu broni; to byłoby trudne, zwłaszcza w więzieniu, gdzie jest tyle kluczy i tyle rzeczy pod kluczem. Myśl o buncie była absurdem; więźniowie byli ogłupieni dyscypliną, zaś zainteresowania Castela problemami społecznymi i więziennymi były wyłącznie sadystyczne. *Musiałbym chyba być chory — pisze — żeby wierzyć w szaleństwa Bernheima.*

Pobył w więzieniu mógł przyprawić o chorobę. *Sumienie i więzienia nie dadzą się*

*pogodzić* — słyszałem, jak mówił to pewnej nocy, gdy uważał się za natchnionego. *O parę metrów stąd* (chodziło o magazyn w Saint-Martin) *żyją ci biedni potępieńcy. Już sama ta myśl powinna nas zniszczyć.* Winę za powyższe szaleństwo ponosi jego ojciec. Jeśli był z chłopcami na spacerze i pojawiała się więzienna klatka, chwycił ich za ręce i ciągnął gwałtownie, jakby chcąc ich uchronić przed odrażającym i śmiertelnym widokiem. Bez wątpienia Pierre, w swej decyzji wysłania Henryka do Gujany, okazał nie tylko stanowczość, ale i intuicję.

Otworzył wychodzące na podwórze okno i zawołał. Odpowiedź ordynansa nadeszła po kilku minutach. Zjawił się po kwadransie. Zapytał:

— Czym mogę panu służyć, panie poruczniku?

Sam nie wiedział. Drażniła go ta dociekliwa twarz. Dał odpowiedź:

— Walizki.

— Że co?

— Tak, walizki, nesesery, bagaże. Wyjeżdżam.

## XXIII

Nie opodal Targu napotkał rodzinę Frinziné.

— I oto jesteśmy — powiedział Frinziné z pewną egzaltacją. — Na spacerze. Wszyscy razem: tak jest bezpieczniej. A pan? Dokąd pan z tym idzie? (zauważył wreszcie walizki).

— Odjeżdżam.

— Już nas pan zostawia?

Nevers zapewniał, że chyba wróci wieczorem. To — jak powtarzali — bardzo ich uspokajało. Pani dodała:

— Odprowadzimy pana do portu.

Próbował się sprzeciwić. Jedyńm jego sprzymierzeńcem była Karolina; chciała już pójść do domu, ale nie słuchano jej. W nagłej serdeczności państwa Frinziné wyczuł chęć ukrycia czegoś, a może pragnienie oddalenia go od jakiegoś miejsca. Patrzył z tęsknotą na miasto, jakby przeczuwając, że więcej tu nie wróci. Stwierdził ze wstydem, że wybiera te odcinki ulic, gdzie było jak najwięcej kurzu, żeby zabrać ze sobą trochę czerwonego pyłu Cayenne. Z roztargnieniem odkrył przyczynę zakłopotania państwa Frinziné: zaskoczył ich w pobliżu Targu. Niemniej jednak słowa, w których się doń zwracali, były miłe, serdeczne, a napięcie nerwów przypomniało mu inne pożegnania. Zwilgotniały mu oczy.

## XXIV

Przed wylądowaniem okrążył Wyspę Diabła. Nic się tam nie zmieniło. Nie zauważył nikogo. Zwierzęta, jak zawsze, chodziły na wolności. Wysiadł na Wyspie Królewskiej. Natychmiast poszedł do Zarządu; tam, w biurku, leżał pęk kluczy. Spytał zastępującego Dreyfusa ordynansa o wiadomości. Nie było żadnych.

Wieczorem zjawił się Dreyfus. Uściskali się niczym przyjaciele po długim rozstaniu. Dreyfus zdawał się nie przejawiać ironii; uśmiechał się zachwycony. Wreszcie powiedział:

— Pan gubernator czeka na pana.

— Mogę płynąć na Wyspę Diabła?

— W żadnym wypadku, panie poruczniku... Czy spełnił pan polecenie odnośnie do

listu?

— Jakiego listu?

— Listu, który miał pan wręczyć w imieniu gubernatora. Przekazałem go panu wraz z innymi poleceniami.

Wsunął dłoń do kieszeni; tam właśnie znajdował się list. Zmyślił na poczekaniu:

— Tamten człowiek powiedział, że przed 26 nic z tego.

— Przed 26! — powtórzył Dreyfus.

— Przed 26. Przywiozłem, co mogłem. Ale mogę wrócić.

— Co za zmartwienie dla pana gubernatora. I to w takiej chwili.

— Co się stało?

— Jeśli go pan zobaczy, nie pozna go pan. Pamięta pan, jak był tu po raz pierwszy?

Zmienił się.

— Zmienił?

— Miał atak, silniejszy niż zwykle. Jest szary jak popiół. Zobacz pan, jak on chodzi; wydaje się, jakby spał.

Nevers poczuł wyrzuty sumienia. Powiedział:

— Jeśli zechce, pojedź jeszcze dziś wieczór. Postaram się, żeby ci ludzie przekazali mi, co należy...

Dreyfus zapytał:

— Dostał pan okulary dla Księdza?

— Nie — odparł Nevers.

— On widzi bardzo kiepsko.

— Ciężko z nim?

— Pan gubernator mówi, że mu się polepszy; choroba była ciężka. Za dnia trzymamy go w ciemności; w nocy na powietrzu. Ale nie widzi niczego, co jest w pobliżu, nie dostrzega własnego ciała; rozróżnia tylko przedmioty na odległość dwóch metrów od oczu. Trzeba z nim robić wszystko; kąpać go, karmić. Je w dzień, podczas snu.

— Podczas snu?

— Tak, po przebudzeniu staje się zbyt nerwowy: trzeba mu dać spokój. Nadal majaczy, widzi koszmary.

Nevers poczuł żal. Potem uznał, że okulary nie powstrzymałyby wizji Księdza. Zapytał, żeby zmienić temat:

— I co poza tym słyhać na wyspie?

— Nic. Życie jest tam bardzo unormowane. Cały czas przy chorych.

— Chorych? Więc jest ich więcej?

— Tak. Ksiądz i jeszcze jeden z więźniów, niejaki Julien. Wczoraj miał atak.

— Najpierw Ksiądz, potem Castel, potem...

— To nie to samo. Pan gubernator skarży się na swoją starą chorobę: bóle głowy. To zaszczyt pracować dla pana Castela. Taki chory, a nawet na chwilę nie oddala się od Juliana. A pan De Brinon tak samo: poświęca się cały dzień, jakby nie był szlachetnie urodzony. Taka już krew, panie poruczniku, szlachetna krew.

— Castel nie wychodzi?

— Prawie nigdy. Na chwilę, w nocy, żeby zobaczyć, co z Księdzem, albo porozmawiać z innymi więźniami.

— Jakimi więźniami?

Dreyfus odwrócił wzrok. Potem wyjaśnił:

— No, z resztą, którzy są zdrowi. Odwiedzają go w pawilonie.

— Mogą się zarazić.

— Nie; nawet ja nie wchodzę do pokoju. Jedzenie przynosi pan De Brinon.

— Gubernator i De Brinon jedzą w pokoju chorego?

- Śpią również.
- Ile razy odwiedzał gubernator tę wyspę i Wyspę Świętego Józefa.
- Odkąd pan wyjechał, ani razu.
- A De Brinon?
- Też nie.
- A pan?
- Ja nie przyjeżdżałem. Jest dużo pracy, zapewniam pana.

Zadawał sobie pytanie, czy nikt nie zauważył, że więzienie było bez nadzoru władz. Przewornie postanowił zrobić inspekcję i nie zapomnieć sprawdzić archiwum i magazynu broni.

## XXV

Zrobił obchód Wyspy Królewskiej i Wyspy Świętego Józefa. Cierpienia i nędza trwały nadal... Niewykluczone, że nadużycia wobec więźniów przybrały na sile; tego jednak się nie dostrzegało. Najokropniejsze z więzień funkcjonowało doskonale bez nadzoru władz. Ci skazańcy mogliby co najwyżej ukraść łódź i rozbić się nie opodal wyspy lub popełnić samobójstwo w latrynie. Jakikolwiek bunt byłby daremny. A więc była to tylko obłąkana idea, poniżające szaleństwo.

W tej właśnie chwili ktoś ujął go za ramię. Odwrócił się i spojrzał wprost w oczy starego więźnia, niejakiego Pordelanne'a. Pordelanne uniósł z wolną prawą rękę; Nevers cofnął się i stwierdził, że człowiek ten miał w dłoni jakiś zielono-czerwony przedmiot. Pokazał mu małą budkę.

- Sprzedam to panu — powiedział piskliwym głosem. — Ile pan da?

Pordelanne podciągnął nieco spodnie i klęknął ostrożnie. Postawił budkę na ziemi, zbliżył twarz do wejścia i zawołał: „Constantino!”. Natychmiast wyskoczył drewniany pies. Wepchnął go z powrotem do środka, klasnął w dłonie i pies wyskoczył ponownie.

- Pan to zrobił?

— Tak. Pies reaguje na dźwięk. Kiedy baterie się wyczerpią, można je zmienić. Ile pan da?

- Pięć franków.

Dał piętnaście i kontynuował obchód, teraz już niezbyt pewny siebie; przeczuwał, że ta zabawka podkopie jego prestiż.

Zauważył pewne zmiany na liście mieszkańców czerwonej szopy. Deloge i Favre zostali przeniesieni na Wyspę Diabła; Roday i Zurlinder zastąpili ich. Nevers przypomniał sobie zdenerwowanie Dreyfusa, gdy ten mówił o więźniach; zadawał sobie pytanie, czy Castel celowo czekał na jego wyjazd do Cayenne, by móc zarządzić zmiany; nie był tym zgorzony; pomyślał, że chyba gubernator nie jest aż tak niesprawiedliwy; więźniowie na Wyspie Diabła byli lepiej traktowani; możliwe, że wśród siedmiuset pięćdziesięciu więźniów Wyspy Królewskiej i Świętego Józefa byli tacy, którzy na to zasługiwali, zaś z czterech więźniów politycznych Wyspy Diabła trzech było skończonymi i niepoprawnymi łotrami. W zasadzie jednak był przeciwny mieszanu więźniów politycznych z pospolitymi.

Wrócił do zarządu; poszedł do archiwum. Książki, regały, pajęczyny: wszystko to było nietknięte. Poszedł do magazynu broni: niczego nie brakowało. W głębi, jak zawsze, stały karabiny maszynowe Schneidera; z prawej, na podłodze, szczelnie zamknięte skrzynie pełne amunicji (próbował je unieść), z lewej baryłka z oliwą do maszyn do szycia, której używano

przy czyszczeniu broni; również z lewej strony, na stojakach — karabiny. A jednak wisząca nad stojakami żółta zasłona była odsłonięta; *a w jego wspomnieniu było inaczej*. Zaczął inspekcję od nowa. Osiągnął ten sam rezultat: z wyjątkiem zasłony wszystko było w porządku. A może, pomyślał, może któryś z tych nieszczęśników znalazł klucze i po zbadaniu magazynu wołał do wniosku, że jeszcze nie jest gotów, że nie była to stosowna pora i brakowało mu współnika; lepiej zostawić klucze i wrócić w nocy (kiedy będzie już gotowy plan, a przede wszystkim łódź z prowiantem). Nevers wyznaje, że zamykając drzwi i chowając klucze Ubolewał nad pokrzyżowaniem planów nieznajomego.

Wszedł do swego pokoju, postawił zabawkę na komodzie, zaciągnął kotary i położył się. Dreyfus podzielał na jego wyobraźnię: Castel chyba nie był aż takim łotrem. *Dobry zarządca nigdy tak dalece nie zapomina o więzieniu, nie pozwala, żeby funkcjonowało bez nadzoru. Każdy dobry zwierzchnik wierzy w potrzebę rozkazywania, nękania kontrolą... Chyba że Castel byłby człowiekiem niezwykłym.*

Poza tym że objawy choroby Księdza nie odpowiadały symptomom cholery, nie miał żadnych dowodów przeciwko gubernatorowi; być może Ksiądz miał jakąś chorobę zbliżoną do cholery, a gubernator dla uproszczenia powiedział, że to cholera, żeby Dreyfus mógł go zrozumieć; być może Dreyfus źle rozumiał albo źle mu wyjaśnił.

Jego obawy były śmieszne. Czasem drażniło go, że jest maniakiem, szaleńcem. A mimo to czuł ulgę: miał czekać aż do przyjazdu Ksawerego, ale czekać w świecie zupełnie normalnym, o zdrowych zmysłach. A wtedy przypomniał sobie o zakazie wizyt na Wyspie Diabła. W tym wszystkim — pomyślał — tkwi jakaś tajemnica.

## XXVI

*Tajemnica Wyspy Diabła nie obchodzi mnie. Nawet gdyby istniała. To, co osiągnął mój siostrzeniec dochodząc do powyższego wniosku, wydaje się czymś niezwykłym. Dla nas, naiwnie wierzących w powinność, tajemnica ta nie byłaby obojętna.*

Ale nie w przypadku Neversa. *Jeszcze raz przypomniałem sobie, że pobyt w Gujanie stanowi zaledwie epizod mojego życia... Czas zdoła go zatrzeć podobnie jak inne majaki.*

Przeszedł z jednej obsesji w drugą. Uważał, że ponosi winę za ślepotę Księdza i brak medykamentów dla chorych. Postanowił natychmiast jechać do Cayenne, dokonać sprawunków, których nie przywiózł. Zawołał na ordynansa. Nikt nie odpowiadał. Spakował walizkę i sam zaniósł ją na „Bellerophona”.

Zanim wypłynął w morze, zatoczył powolny łuk wokół Wyspy Diabła. Dostrzegł jakiegoś więźnia łowiącego ryby na obrzeżu południowo-wschodniego krańca. Miejsce to — ukryte wśród zboczy i osłonięte z góry gajami rachitycznych palm — znajdowało się poza zasięgiem wzroku mieszkańców Wyspy Królewskiej i Świętego Józefa, a nawet mieszkańców Wyspy Diabła, jeśli nie udawali się akurat w tę stronę. Ożywiony nagłą myślą, postanowił odbyć z tym człowiekiem rozmowę. Nie było raczej powodów do obaw, że ktoś go nagle zauważy, *a gdyby mnie nawet zauważono, o konsekwencjach myślałbym później.*

Przybił do brzegu; zrobił niezwykle skomplikowany węzeł wykluczający możliwość szybkiego odwrotu.

Więzień był nieprawdopodobnie otyły. Rozglądał się wokół, jakby chcąc się upewnić, czy nie ma nikogo. Neversowi wydało się, że zachowanie to byłoby o wiele bardziej stosowne dla niego niż dla więźnia; natychmiast też dopuścił możliwość, że człowiek ten knuje jakiś atak. Przy jego tuszy; pomyślał, bójka nie byłaby groźna. Tylko że potem wszyscy wiedzieli-



by o jego wizycie na Wyspie Diabła. Na odwrót było już za późno.

— Jak tam połów? — zapytał.

— Bardzo dobry. To dobra rzecz, żeby się nie nudzić — więzień uśmiechnął się nerwowo.

— Lepiej tu niż w czerwonej szopie?

Hamując zdenerwowanie dosłyszał jakieś zbliżające się z góry kroki; ukrył się za kolczastym krzewem. Gdzieś blisko niego człowiek uśmiechał się i mówił:

— To jest cudowne. Nigdy nie będę w stanie odwzięczyć się panu gubernatorowi za to, co dla mnie zrobił.

— Pan jest Favre czy Deloge?

— Favre — powiedział człowiek uderzając się w pierś. — Favre.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał Nevers.

— Tu, z tej strony — Favre wskazał w górę zbocza. — W chacie. Deloge mieszka w drugiej, tam dalej.

Znowu rozległy się kroki. Od chwili przybycia do Gujany ciągle słyszał kroki strażników, ale nigdy nie były one tak donośne ani tak liczne. Wcisnął się za krzak.

— Kto tam chodzi? — zapytał.

— Koń — odpowiedział Favre. — Nie widział go pan? Niech pan wejdzie wyżej.

Nie wiedział, co począć; nie chciał sprzeciwić się więźniowi; bał się wejść, żeby tamten nie wykorzystał okazji, nie pobiegł do łodzi i nie uciekł; wspiał się pod górę z ukrywaną ostrożnością (żeby nie dojrzano go z góry i żeby nie stracić z oczu człowieka w dole). Puszczony luzem koń — stary i siwy — krążył bez przerwy w koło. Więzień poruszył się.

— Co mu jest? — zapytał Nevers.

— Nie wie pan? Jak tylko go wypuścimy, zaczyna kręcić się w kółko jak pomyłony. Śmiać mi się z niego chce; nawet nie widzi trawy. Trzeba mu ją wypychać do pyska, żeby nie zdechł z głodu. Na tej wyspie wszystkie zwierzęta są pomyłone.

— Epidemia?

— Nie. Pan gubernator to prawdziwy filantrop: zwozi tu pomyłone zwierzęta i leczy je. Ale teraz, przy chorych, nie może zająć się zwierzętami.

Nie chciał, żeby rozmowa urwała się; powiedział roztargniony:

— A więc nie nudzi się pan tutaj?

— Pan zna warunki. Na szczęście spędzamy co noc chwilę na rozmowie z panem gubernatorem.

Powstrzymał się od pytania, o czym rozmawiają. W czasie tej pierwszej rozmowy powinien poprzestać na jakichś danych o malowidłach, które gubernator polecił wykonać w centralnym pawilonie. Aby w jakiś sposób nawiązać do tematu, zapytał:

— Warunki? Jakie warunki?

Człowiek wstał i dramatycznym gestem opuścił wędkę:

— Pan gubernator kazał panu ze mną pomówić?

— Nie — oparł Nevers zmieszany.

— Niech pan nie kłamie — krzyknął człowiek i Nevers zastanowił się, czy szum morza będzie w stanie zagłuszyć te krzyki. — Niech pan nie kłamie. Nie nabierze mnie pan. Jeśli złamałem słowo, to tylko przez pomyłkę. Skąd miałem wiedzieć, że jest pan nasłany, żeby mnie kusić?

— Kusić pana?

— Widząc pański stopień sądziłem, że możemy porozmawiać. Jeszcze tej nocy wytłumaczę wszystko panu gubernatorowi.

Nevers chwycił go za ramiona i potrząsnął.

— Daję panu słowo, że gubernator nie wysłał mnie, żeby pana kusić ani szpiegować, ani nic w tym rodzaju. Czy nie wolno panu z nikim rozmawiać?

— Z Deloge'em.

— Ma pan wielkie zobowiązania wobec pana gubernatora, a teraz chce go pan zasmucić mówiąc, że nie wywiązał się pan z polecenia. I to ma być wdzięczność?

— On mówi, że to dla naszego dobra — jęknął więzień. — Mówi, że nas uratuje, a jeśli powiemy...

— Jeśli powiecie, sami sobie zaszkodzicie — przerwał mu Nevers, wiedziony instynktem, by nie tracić okazji. — Ja też wam pomogę. Nie powiem o niczym i oszczędzimy zmartwienia panu gubernatorowi. Pan też nic nie powie. Mogę liczyć na pańską obietnicę.

Człowiek, zdławiony swymi słabymi jękami, wyciągnął doń mokrą rękę. Nevers widział, jak lśniła w mroku, i uściśnął ją z entuzjazmem.

Potem wrócił na Wyspę Królewską. Podtrzymał swój zamiar udania się do Cayenne: uda się tam następnego dnia, gdyż wołał nie płynąć w nocy.

## XXVII

— Co pan zamierza robić? — zagadnął Dreyfus. Była dziesiąta rano. Nevers ubierał się.

— Jadę do Cayenne.

— Gubernator kazał powiedzieć, żeby się pan nie trudził — odrzekł Dreyfus. — Jeśli ten człowiek nie będzie miał nic do 26, nie ma sensu, żeby pan jeździł. Gubernator chce pana odwiedzić.

Dreyfus wycofał się. Nevers poczuł wyrzuty sumienia z powodu swego poprzedniego zachowania. Jednakowoż zastanawiał się, w jaki sposób mógłby jeszcze raz porozmawiać z Favre'em. Po szlachetnej wymianie przyrzeczeń i uzgodnieniu wspólnego postanowienia (nieprzysparzania zmartwień Castelowi, unikania nieposłuszeństwa względem Castela) nie było już miejsca na inną rozmowę.

Był już prawie wieczór, gdy zszedł na dół do przystani. Po drodze spotkał ordynansa. Ten zapytał:

— Jedzie pan do Cayenne?

— Nie. Jadę wypróbować „Bellerophona”. Żle chodzi.

Był to najgorszy z wykrętów. Ludzie zwykli interesować się silnikami: bał się, że ordynans będzie go śledził albo rozpozna jego kłamstwo po odgłosach motoru. Oddalił się pospiesznie. Wsiadł do łodzi, uruchomił ją i ruszył w morze. Pływał tam i z powrotem, jakby istotnie próbował silnik, po czym skierował się na Wyspę Diabła.

Favre pomachał mu ręką. Był w tym samym miejscu i łowił ryby wraz z innym więźniem. Nevers nie zauważył nikogo więcej.

Favre powitał go z radością i przedstawił swemu koledze, Deloge'owi, mówiąc:

— Nie bój się. Ten pan jest przyjacielem. Nic nie powie panu gubernatorowi.

Deloge nie ufał. Był mały, a może tylko tak się wydawało w porównaniu z Favre'em; miał rude włosy, spojrzenie cokolwiek dziwne i jakiś ostry, podejrzliwy wyraz twarzy; badał Neversa ze źle ukrywaną ciekawością.

— Nie bój się — nalegał Favre. — Ten pan chce nam pomóc. Możemy z nim rozmawiać i wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Nevers uznał, że pomiędzy nim a Favre'em powstało coś w rodzaju porozumienia; chciał je wykorzystać i mówił, już bez większej ostrożności, szczerze, o swym postanowieniu jak najszybszego opuszczenia wysp.

Zapytał Favre'a:

— Gdyby mógł pan odjechać, jakie miejsce by pan wybrał?  
Deloge poruszył się jak spłoszone zwierzę. To zdało się pobudzić Favre'a, który powiedział:

— Pojechałbym na jakąś samotną wyspę.

Aż do przyjazdu tutaj Nevers marzył o samotnej wyspie. Oburzyło go, że podobne marzenie zdołało uwieść więźnia z Wyspy Diabła.

— Ale czy nie wolałby pan wrócić do Francji, do Paryża? A może do Ameryki?

— Nie — odparł. — W wielkich miastach nie sposób znaleźć szczęście. (Nevers pomyślał: to zdanie wyczytał albo zasłyszał).

— Poza tym — wyjaśniał Deloge swym głębokim głosem — pan gubernator wytłumaczył nam, że wcześniej czy później wykryliby nas.

— Choćby nam przebaczone — pospieszył z uzupełnieniem Favre — wszyscy będą patrzeć na nas z nieufnością. Nawet nasze rodziny.

— Bylibyśmy napiętnowani — stwierdził z nagłą radością Deloge. — Napiętnowani — powtórzył.

— Deloge — powiedział Favre wskazując na towarzysza — chciałby pojechać do Manoa, do El Dorado.

— El Dorado? — zapytał Nevers.

— Tak; gliniane chaty mają tam dachy ze złota. Ale ja niczego nie gwarantuję, sam nie widziałem. Castel nas rozczarował. Mówi, że złoto jest tam tyle warte, co słoma. Ale ja rozumiem powody: Manoa to już w interiorze Gujany. I jak przedostać się przez strefę strzeżoną?... — Favre zamilkł gwałtownie, po czym ciągnął nerwowo:

— Lepiej, żeby pan już poszedł. Bo jak nadejdzie Dreyfus albo gubernator się dowie...

— Dreyfus nigdy nie chodzi po nocy — warknął Deloge.

— Na mnie też już czas — zapewnił Nevers. Nie chciał sprzeciwić się Favre'owi; nie wiedział, co powiedzieć, by go uspokoić. Uściśnął mu mocno dłoń, zmrużył oczy i wykonał ruch głową: był to język równie wylewny, jak nieokreślony.

Czyżby Castel przygotowywał ich do ucieczki? Więc chyba choroba Juliana i Księdza pokrzyżowała mu plany... Zamierzał wysłać ich na jakąś wyspę. Zastanawiał się, skąd wzięłby odpowiednie wyspy na Atlantyku. Bo przecież nie wywiezie ich na Pacyfik. *I jeśli nie przeprowadzi ich jakimś tunelem... To nie moja sprawa... Zwłaszcza gdy mnie tu nie będzie.*

Ale nie rozumiał planów Castela. Dopóki będzie przebywał na wyspach, postara się to wybadać bez ryzyka. Chyba chodziło mu o jakieś porozumienie ze mną. Wyznał mi tyle niedorzecznych domniemywań, że teraz, w obliczu czegoś zupełnie realnego, chciał wyjaśnić wiele spraw.

## XXVIII

Nie zabraknie z pewnością takich, którzy oskarżą mnie o współodpowiedzialność w tym szaleńczym planie, który przysporzył Neversowi wieloznacznych odkryć i zagadkowej śmierci. Nie uchylam się od odpowiedzialności, ale też nie mogę odpowiadać za to, za co nie ponoszę winy. W poprzednim rozdziale stwierdziłem: „Chyba chodziło mu o jakieś porozumienie ze mną. Wyznał mi tyle niedorzecznych domniemywań, że teraz, w obliczu czegoś zupełnie realnego, chciał wyjaśnić wiele spraw”. Powtarzam to. Potwierdzam. I tyle.

Dreyfus oznajmił mu wieczorną wizytę gubernatora. Nevers był przejęty; około dziesiątej wieczorem powziął pewien plan; natychmiast wypił parę kieliszków, aby nabrać animuszu

i wprowadzić go w życie. Jeszcze do jedenastej liczył, że gubernator go odwiedzi; potem zwątpił, zaś jeszcze później uznał, że oczekiwać nań było nonsensem. Z tym przeświadczeniem, alkoholem i pierwszym tomem *Prób* Montaigne'a zasnął oparty o biurko. Gubernator go obudził.

Obarczanie mnie bezpośrednią odpowiedzialnością byłoby niesprawiedliwe: Nevers powziął plan o dziesiątej, wykonał go o północy; ja byłem we Francji, on na Wyspach Zbawienia. Do odpowiedzialności szerzej pojętej, za to, że nie wpłynąłem nań i nie odradziłem mu aż tak dalece nieformalnych metod działania, również się nie poczuwam. Jeśli kiedyś znajdą się moje listy do Neversa, okaże się, że były bardzo nieliczne, i jeśli zdradzałem jakieś zainteresowanie „śledztwem”, to zaledwie o tyle, o ile wymagała tego uprzejmość... Być może ktoś zapyta, w jaki sposób, skoro nikt go do tego nie popychał, człowiek ten, nie będąc szaleńczo odważny, wymyślił tak nikczemne kłamstwa, zagrażające jego życiu i wolności albo też powrotowi, którego tak dramatycznie oczekiwał; jak odważył się o tym mówić; skąd wzięł odwagę i sposób, by zagrać rolę wobec gubernatora i przekonać go.

Przede wszystkim Nevers nie był tchórzem; nie był tchórzem jeśli chodzi o słowa. Nie brakowało mu odwagi, by mówić; brakowało, by stawić czoła konsekwencjom tego, co powiedział. Oświadczał, że jest obojętny wobec rzeczywistości. Interesowały go uwikłania. Sam mógłby potwierdzić swoje uwikłanie (zupełnie oczywiste) w sprawę, która zmusiła go do opuszczenia Francji. Mógłby potwierdzić swe postęпки w więzieniu (od pierwszej chwili w sposób zupełnie niewłaściwy kwestionował działalność swego zwierzchnika). Mogłaby też potwierdzić moje słowa pewna dama z Saint-Martin.

Poza tym, choć jest rzeczą pewną, że nikt go ku temu nie popychał, nie byłoby rzeczą ścisłą twierdzić, że nic go nie popychało: pił. Dodatkowym bodźcem był stan gubernatora.

Nevers obudził się czując ucisk na ramieniu. Była to ręka gubernatora. Gubernator nie patrzył nań; poruszył się; okrążył biurko i usiadł naprzeciwko Neversa. *Szedł jakby dryfem*, zataczał się, minął krzesło o metr lub dwa; zawrócił i opadł na nie bez siły. Żrenice miał rozszerzone, oczy w półprzymknięte i zapadnięte. Twarz jego miała trupią barwę, niczym twarz lichego aktora grającego rolą starca. I chyba to wejście lichego aktora przypomniało Neversowi jego zamiar podjęcia gry.

Gubernator sprawiał wrażenie chorego. Nevers przypomniał sobie o bólach głowy i „atakach”, o których mówił Dreyfus; przypomniał sobie śmieszne wyrażenie Dreyfusa: „wygląda jakby spał”. Pomyślał, że zmysł krytyczny Castela z pewnością jest osłabiony... I jeśli nawet odkryłby jakiś słaby punkt jego wypowiedzi, przeszedłby nad nim do porządku, żeby się nie męczyć. Postanowił spróbować swej bezsensownej i desperackiej gry. Powstał uroczyście.

— Wie pan, dlaczego tu jestem?

Mówił prawie krzykiem, tak aby zadać prawdziwą mękę Castelowi. Ten, rzeczywiście, przymknął oczy i chwycił się rękoma za głowę.

— Jestem tu, ponieważ oskarżają mnie o kradzież dokumentów.

Tej nocy kłamał kierując się tym samym impulsem, tą samą rozpaczliwą ciekawością, która nakazywała mu kłamać przed laty, przy okazji upamiętnionej trwałą blizną. Kontynuował już ciszej (żeby zostać wysłuchany):

— Oskarżają mnie o sprzedaż tych dokumentów jakiemuś obcemu mocarstwu. Jestem tu na skutek *szantażu*. Osoba, która wykryła tę kradzież, wie, że jestem niewinny, ale wie także, iż pozory wskazują na mnie i że nikt nie uwierzy w moją niewinność; powiedziała, że jeśli na okres roku wyjadę z Francji, nie zdradzi mnie: zgodziłem się, zupełnie jakbym ponosił winę. Teraz, rzecz jasna, oskarżyła mnie. 27 przyjeżdża mój kuzyn, Ksawery Brissac, z przykrym obowiązkiem zastąpienia mnie i wręczenia panu nakazu aresztowania.

I wreszcie gubernator zapytał:

— Czy mówi pan prawdę?

Nevers potwierdził.

— Skąd mam wiedzieć, że jest pan niewinny? — pytał gubernator, zmęczony i poirytowany. W głębi jego zmęczenia Nevers odgadywał *stanowczość kogoś, kto widzi możliwość rozwiązania sytuacji*.

— Antoine Brissac — odpowiedział szybko Nevers; — niech pan zapyta mego wuja Antoine'a, a jeśli nie, samego Pierre'a. Pan ich zna.

Życie wśród więźniów zaczęło już drażnić charakter mego siostrzeńca. Powoływanie się na Pierre'a można by uznać za złośliwą zemstę, ale nadużywanie mojej przyjaźni to już nie było w porządku. Ponadto my byliśmy we Francji, a skoro opowiadanie Neversa miało cechy prawdopodobieństwa, w jakiż sposób Castel miał otrzymać nasze *niezwłoczne świadectwo*?

— To pewne, że pana skazano?

— Pewne — odpowiedział Nevers.

Był wypytywany; uwierzono mu.

Gubernator, głosem drżącym i przygaszonym, znów zaczął wypytywać, czy jest tego pewien; Nevers odpowiedział, że tak. I gubernator wykrzyknął z pewnym ożywieniem:

— Cieszę się.

Potem zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Wyszedł wybraniając się słabo, gdyż Nevers chciał go odprowadzić.

## XXIX

Wyciągnął pistolet.

Był jak sparaliżowany. Myślał szybko, wyobrażeniami, zupełnie jakby majaczył. Chciał zrozumieć, rozstrzygnąć. Nie mógł.

Powoli i stanowczo przemierzył pokój, otworzył drzwi, szedł dalej przez nie kończące się krużganki, wspiął się po krętych schodach i wszedł po omacku do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz. Zapalił światło.

Miał wrażenie, że chodzi jak lunatyk, jak widmo. Nie czuł potrzeby snu, nie był zmęczony ani obolały; nie odczuwał własnego ciała: czekał. Wziął pistolet w lewą rękę, wyciągnął prawą. Widział, że drży.

W tym samym momencie — a może wiele później? — zapukano do drzwi.

To było to, na co czekał. A jednak nie przeraził się. Koszmar przeminął, pukanie obudziło go. Dzięki niemu radośnie wrócił do rzeczywistości. Nevers, podobnie jak wielu ludzi, umarł nie wiedząc, że jego rzeczywistość była dramatyczna.

Położył pistolet na stole i poszedł otworzyć. Wszedł Kahn, strażnik. Zobaczył w pokoju światło i „przyszedł pogadać”.

Kahn przystanął z szacunkiem koło stołu. Nevers wziął pistolet i kiedy mówił, że musi go rozebrać i wyczyścić, padł przypadkowy strzał.

Podejrzewam, iż po krótkiej i być może bohaterkiej konfrontacji z Castelem rozmyślał na temat prawdopodobnych następstw. Jego nerwy nie wytrzymały.

## XXX

Plan Neversa polegał na przedstawieniu sprawy salin jako problemu publicznego; skłóciła ona naszą rodzinę i oddaliła go z Francji; być może stanowi też absurdalną paralełę afery Dreyfusa i nie widzę potrzeby upierania się przy owym frywolnym traktowaniu kwestii, na którą każdy z nas, w podobnych okolicznościach, patrzyłby z szacunkiem i lękiem.

Być może, podochocony trunkiem, uznał, że niebezpieczna, nieznośna sytuacja, w której się znalazł, nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Ostatnia rozmowa z Favre'em i Deloge'em przekonała go, że *gubernator planował ucieczkę na najbliższy termin; wymiana więźniów między Wyspą Diabła a Świętego Józefa i Królewską miała jednoznaczną wymowę: skupić na Wyspie Diabła więźniów, których wyroki były niesprawiedliwe. Moje fałszywe wyznanie może pociągnąć następujące konsekwencje: gubernator zabierze mnie na wyspę i odkryje przede mną swe plany; albo zabierze i nie odkryje swoich planów, ale pozwoli mi brać udział w ucieczce (spróbuję najpierw śledzić go, potem odłączyć się od ucieczki); albo też, z powodu usprawiedliwionej niechęci, nie zabierze mnie na wyspę, nie powiadomi o niczym ani nie pozwoli na udział w ucieczce. Innych konsekwencji mego „wyznania” nie przewiduję, choćby Ksawery przybył przed zamachem. Gubernator nie może narażać się na komplikacje; nie oskarży mnie. Nie będzie też czekał na przyjazd Ksawerego. Wszystko to wynikało z absurdalnego sposobu rozumowania: jeśli Castel zapragnąłby ucieczki niektórych więźniów, on nie miałby po co uciekać (mógł sobie odejść, kiedy zechce, nie był więźniem).*

Minęły cztery dni, a Nevers nie miał wiadomości od gubernatora. Milczenie nie zrażało go; dawało mu nieprawdopodobną nadzieję, że jego słowa nie pociągną za sobą następstw. Czwartego dnia otrzymał list z rozkazem, by 24, o zmierzchu, stawił się na Wyspie Diabła.

## XXXI

### 16 KWIETNIA

O dwunastej, tak jak w poprzednie noce, otworzył drzwi swego pokoju, nasłuchiwał, chodził po ciemnym korytarzu. Starając się nie robić hałasu zszedł po skrzypiących schodach. Słuchał. Minął kancelarię i wielki przedsionek o zapachu olejnej farby. Otworzył drzwi: znalazł się na zewnątrz, w najczarniejszej, pochmurnej nocy.

Poszedł po linii prostej, potem skręcił w lewo i doszedł do palmy kokosowej. Westchnął; dygocąc starał się dosłyszeć, czy ktoś nie słyszał jego westchnienia. Szedł cicho; zatrzymał się pod innym drzewem; znów ruszył; doszedł do drzewa o niskich, rozpostartych nad wodą gałęziach; wśród nich dostrzegł kształt łódki i, dookoła niej, widmowe piany, które tworzyły się i rozplýwały w połyskliwej czerni morza. Bał się, że rozlegnie się odgłos wiosel, ale musiał wiosłować natychmiast, gdyż nie mógł znaleźć się w prądzie, który poniósłby go wzdłuż brzegu. Wsiadł do łódki i począł zawzięcie wiosłować.

Skierował się w stronę Wyspy Diabła, do miejsca, w którym przebywał z Favre'em i Deloge'em. Przeprowa należała raczej do długich, ale miejsce lądowania wydawało mu się względnie pewne. Uderzenia, jak gdyby gąbczastych kopuł wstrząsały dnem łódki; dookoła przemykały trupio blade płaszczyzny. Myślał (kilka dni temu, w czasie poprzedniej wyprawy), że te białawe efemerydy to tylko fale oświetlane słabymi, przenikającymi przez szczeliny w chmurach promieniami księżyca. Potem przypomniał sobie, że zmarłych więźniów

wywożono w nocy na tej właśnie łódce i rzucono w morze; opowiadano mu, że rekiny igrały wokół łodzi jak niecierpliwe psy. Odraza przed zetknięciem z cielskiem jakiegoś rekina przyspieszała jego chęć lądowania gdziekolwiek, ale ciągnął aż do miejsca, gdzie postanowił zawinąć. Sam nie wiedział, czy podziwiać swą odwagę, czy też gardzić sobą z racji odczuwanego lęku.

Przycumował łódkę i wspiał się na zbocze południowo-wschodniego krańca wyspy. Teraz wydawało się ono krótsze; natychmiast znalazł się w gaju palmowym. Już po raz czwarty odwiedzał nocą tę kępę drzew. Za pierwszym razem zdawał się doskonale rozumieć niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, i postanowił zawrócić. Za drugim razem krążył wokół chaty Favre'a. Za trzecim zdołał obejść pawilon centralny.

Wychodził z kępy drzew w kierunku chaty Favre'a, gdy wtem zobaczył dwa cienie zmierzające w jego stronę. Wycofał się przemykając od jednej palmy do drugiej. Opadł na ziemię; rozciągnął się na chrzęszczącym i ruchliwym od owadów podłożu. Cienie weszły do chaty. Jako że była pograżona w ciemnościach, pomyślał, że mogli to być Favre i Deloge wracający z rozmowy u gubernatora. Postanowił ich odwiedzić.

Ale nie zapalali żadnego światła; należało chyba podejść do okna i zajrzeć. W tej samej chwili wyszedł jeden z mężczyzn. Zataczał się. Potem ukazał się drugi. Szli jeden za drugim niosąc coś w rodzaju noszy. Nevers popatrzył uważnie. Nieśli jakiegoś człowieka.

Nieruchomy, zagrzebany w insektach, czekał, aż się oddalą. Potem pobiegł do łódki i uciekł z wyspy. Następnego dnia, pisząc do mnie, żałował, że był zbyt daleko i nie mógł rozróżnić ich twarzy.

Na drugi dzień nie wyruszył na rozmowę z Favre'em i Deloge'em. Ani wieczorem. Ani następnego dnia po południu. Nie udał się też tam 18. W ogóle nie poszedłby tam więcej. 26 wyjechałby do Cayenne. 27 przyjechałby Ksawery, a on — nie do wiary! — wróciłby do Francji. Był wolny od upiornych majaków Wysp Zbawienia i wydawało mu się oczywistym nonsensem mieszać się w sprawy, które już minęły.

## XXXII

To, że mogli go zaskoczyć strażnicy z Wyspy Królewskiej, nie pociągnęłyby za sobą konsekwencji (jasne, że gdyby go nie rozpoznali albo udawali, że nie rozpoznają, konsekwencją byłaby kula). Ale gdyby go zaskoczyli na Wyspie Diabła, mogłyby to być coś poważniejszego. Może wszystko ograniczyłoby się do składania wyjaśnień, niemożliwych wyjaśnień; lecz jeśli tajemnica Wyspy Diabła była tak okrutna — na co zdawała się wskazywać przygoda z 16 — nie byłoby przesadą twierdzić, że w odwiedzinach na Wyspie Diabła ryzykował życie. Kto był tym człowiekiem, którego wynosili z chaty Favre'a? Co mu się stało? Był chory? Zamordowali go?

W noc 19 pokusa zwyciężyła; wstał, by popłynąć na wyspę. U wejścia do zarządu dyskutowało zawzięcie dwóch strażników; wrócił do swego pokoju i powiedział, że zesłało mu ich przeznaczenie, aby odciągnąć go od zamiaru. Ale 20 popłynął; spędził tam kilka minut i wrócił z poczuciem uniknięcia poważnego niebezpieczeństwa. 21 wrócił ponownie. Chata Deloge'a była oświetlona. Bez większych ostrożności podszedł do okna, zajrzał: Deloge, ze swymi rudymi włosami, bardziej rudymi niż kiedykolwiek, przygotowywał kawę; był skupiony, pogwizdywał i prawą ręką — czasem obydwoma — dyrygował jakąś wymagowaną orkiestrą. Nevers miał ochotę wejść i zapytać, co z Favre'em. Jednakże jego celem było uzyskanie wiadomości, co działo się w pawilonie centralnym; uznał, że będzie to jego ostatnia

wyprawa na wyspę.

Przechodząc od drzewa do drzewa skierował się do pawilonu centralnego. Nagle zatrzymał się: dwóch ludzi szło w jego kierunku. Nevers ukrył się za pniem palmy. Śledził ich z daleka tracąc czas na ukrywanie się za drzewami. Ludzie weszli do chaty Deloge'a. Podejść i zajrzeć to było zbyt niebezpieczne: musiałby przejść przed drzwiami albo zrobić zbyt szerokie okrążenie. Wolał poczekać. Wiedział, na co czeka. W drzwiach ukazał się jeden z dwóch ludzi, zataczał się, jakby włókł coś za sobą. Potem zjawił się drugi. Nieśli człowieka. Nevers pozostał przez chwilę wśród drzew. Potem wszedł do chaty. Wydawało mu się, że panuje tam nieporządek *jak na zdjęciach pokoju, w którym dokonano morderstwa*. Przypomniał sobie, że nieporządek jest zupełnie taki sam jak wtedy, gdy patrzył przez okno, gdy Deloge przygotowywał kawę. Filiżanka kawy stała na kuchence. W izbie unosił się jakiś nieokreślony szpitalny zapach. Nevers wrócił na Wyspę Królewską.

### XXXIII

Zbliżał się dzień powrotu i Nevers przestał się interesować tajemnicą Wyspy Diabła. Gorąco pragnął wyjechać i być definitywnie wolnym od obsesji tajemnic. Był gotów wyjechać tym samym statkiem, którym przyplynie Ksawery; 26 byłby w Cayenne; 27 wróciłby z Ksawerym na wyspy; 29 popłynąłby do Francji. Ale przedtem musiała nastąpić noc 27, noc, którą miał spędzić na Wyspie Diabła.

Na tę nieuniknioną wyprawę podjął środki ostrożności: zacumuje łódź do „Bellerophona”, doholuje aż do drzewa, gdzie zawsze przybijał, a potem popłynie motorówką do przystani wyspy. Gdyby zaszła potrzeba ucieczki, będzie miał łódkę w bezpiecznym miejscu. Zmienił plan: lepiej zostawić „Bellerophona” w sekretnym miejscu i dopłynąć do przystani w łódce. Motorówka byłaby bardziej poręczna w ucieczce.

24, o pół do ósmej wieczorem, wziął „Bellerophona” i wylądował u stóp drzewa. Wspiął się po zboczach, minął gaj palmowy i podążył w kierunku pawilonu centralnego. Klasnął w dłonie; nikt nie odpowiedział; chciał wejść; drzwi były zamknięte. Wracał już, gdy napotkał Dreyfusa, który zdawał się nadchodzić z przystani.

— Gdzie pan przybił? — zapytał Dreyfus. — Czekam na pana od szóstej. Już myślałem, że pan nie przyjedzie.

— Pukam już od pewnego czasu. Już miałem ochotę odejść.

— Tu wszyscy są bardzo zajęci. Pan gubernator czekał na pana jeszcze do niedawna. W którym miejscu przybił pan do brzegu?

Nevers wykonał gest w kierunku przystani.

— Po co mnie wzywano? — zapytał.

— Nie wiem. Pan gubernator prosi pana, żeby pan spał tej nocy w chacie Favre'a. Jutro przygotuję panu jakiś pokój w pawilonie centralnym.

— Czy Favre jest chory?

— Tak.

— Więc Ksiądz, Julien i Deloge chorują?

— Skąd pan wie, że Deloge jest chory?

— Nieważne skąd. Ważne, że sprowadzono mnie tu, żeby zarazić. Że każą mi spać w tej chacie, żebym nie uniknął zarazy.

Weszli do chaty. Wszystko tu było bardzo czyste i starannie przygotowane. Nevers pomyślał, że trudno o dobrych służących i że powinien spróbować zabrać Dreyfusa do Francji.



Dreyfus powiedział:

— Ponieważ czekałem na pana, nie mogłem zająć się kuchnią. Podam panu jedzenie o dziewiątej. Niech pan wybaczy.

Nevers zabrał ze sobą tomik Baudelaire'a. Spośród przeczytanych poematów wspomina *Correspondances*.

Od dziewiątej do pół do dziesiątej był prawie spokojny, niemal wesoły. Jedzenie było znakomite, a obecność Dreyfusa zadowalała go. Kiedy został sam, wrócił do lektury. Trochę przed jedenastą zgasił światło i stanął przy drzwiach. Spędził tak sporo czasu. Był zmęczony i senny. Sądził, że czuwa już wystarczająco długo, że tej nocy mógł się czuć bezpieczny i położyć się. Przedtem chciał sprawdzić godzinę. Zapalił zapałkę. Upłynęło czternaście minut. Wsparł się o drzwi. Stał tak bardzo długo. Twierdzi, że oczy same mu się zamykały.

Otworzył oczy: w jego kierunku szło dwóch mężczyzn. Byli jeszcze dość daleko. Wskoczył do środka; natychmiast pomyślał, że musi wyjść i ukryć się wśród drzew. Ale mężczyźni widzieliby, jak wychodzi. Był w pułapce. Potem powziął decyzję i zdołał wyjść przez okno (z trudem, było bardzo małe). Patrzył; nie z ciekawości: bał się tak bardzo, że nie był w stanie się poruszyć.

Ludzie weszli do chaty. Ten niższy pochylił się nad łóżkiem. Nevers usłyszał okrzyk wściekłości.

— Co się stało? — zapytał jakiś dziwaczny głos.

— Niech pan zapali zapałkę — powiedział głos znany.

Nevers uciekł do motorówki.

## XXXIV

O świcie 25 wylądował w Cayenne. Bezwzględnie poszedł do siedziby władz. Położył się, ale nie mógł zasnąć. Był zdenerwowany, więc dla uspokojenia i uporządkowania myśli napisał do mnie te zdania:

*Podjąłem otwartą wojnę z panem Castelem. W każdej chwili może nadejść z wysp rozkaz zatrzymania mnie. To prawda, że lepiej dla niego nie podejmować żadnych kroków w tej sprawie, gdyż jeśli zmusi mnie do obrony, przegra.*

*Muszę ostrzec Ksawerego. Jeśli gubernator zdoła go przekonać, kto wie, co mnie czeka. Ale jeśli ja go przekonam, problem będzie polegał na powstrzymaniu Ksawerego, by nie wszczął postępowania przeciwko Castelowi; zmusiłby mnie do zeznań i opóźniłby mój powrót.*

Przypomniał sobie o poleceniu z listu. Wyjął kopertę z kieszeni i odczytał:

„M. Altino Leitao,  
18 bis rue des Belles-Feuilles,  
Cayenne.”

Poszedł do kuchenki służącej do przygotowywania śniadań i zagrzał wodę. Potem zwiłzył palce i przesunął po zamknięciu koperty. Próbował ją otworzyć; z pozorną zręcznością (najpierw) i ze zniecierpliwieniem (potem). Rozdarł papier; przeczytał:

„Drogi przyjacielu Leitao:

Będę niezwykle wdzięczny za wręczenie oddawcy podwójnej ilości pańskiego doskonałego dynamitu. Prowadzimy właśnie pilne i doniosłe prace.

Pozostając pańskim oddanym i wiernym klientem

Podp. Piotr Castel, 6 kwietnia 1914.”

Po pierwszym zaskoczeniu — że gubernator cynicznie o niczym go nie powiadomił —

starał się zakleić kopertę. Rzuciło się w oczy, że była otwierana. Próbował podrobić pismo Castela na innej. Nie powiodło się.

O ósmej zajął Legrain, bardzo zaniedbany, z wielką grzywą włosów. Nevers zapytał go, o której godzinie przyjeżdża statek Ksawerego.

— Przyjedzie jutro, na wyspy.

— A tutaj?

— Tu nie przyjedzie.

Postanowił wrócić na wyspy następnego dnia. Z dynamitem. Jeśli Castel nie powie nic Ksaweremu, on także zachowa *milczenie i Castel przekona się o mojej intencji zachowania tajemnicy. Jeśli Castel mnie oskarży, dynamit będzie argumentem.*

— Niech mi pan powie, Legrain, kto to jest niejaki Leitao?

— Leitao? To szef spółki przemytników brazylijskich. Najsilniejszego przedsiębiorstwa. Jeśli jakiś zbieg dostanie się na jego statek — chociaż obiecują zabrać go na Trynidad i chociaż wezmą za podróż — to niech mi pan wierzy, skończy się na tym, że rozprują go w poszukiwaniu rulonów pieniędzy. W ziemi nie będzie już groźny.

Nevers pomyślał, że najlepszą bronią przeciwko Castelowi byłyby właśnie ten list. Powinien go zachować: był bardziej przekonujący niż same materiały wybuchowe. Poza tym, aby zatrzymać list, nie trzeba było odwiedzin u przemytnika. Pisze do mnie: *Ale ujawniając list nie tylko udowodnię godną potępienia przyjaźń Castela z przemytnikiem; udowodnię także, że naruszyłem tajemnicę korespondencji.* Nie sądzę, iżby się oszukiwał takimi wykrętami; przypuszczam raczej, że bał się powrotu na wyspy bez wykonania rozkazu Castela.

Tak czy inaczej, pomyślał, nie wypada, żeby Leitao zauważył, że list był otwierany. Po długich rozmyślaniach nad maszyną do pisania znalazł rozwiązanie. Na niebieskiej kopercie bez nadruku wypisał nazwisko i adres Leitao.

O godzinie dziewiątej był na rue des Belles-Feuilles. Otworzyła mu jakaś półnaga Murzynka. Wprowadziła do małego, pełnego książek gabinetu i powiedziała, że zawiadomi pana.

Wkrótce potem wszedł wdychając ogromny mężczyzna w piżamie w szare i czerwone paski. Był śniady, miał krótkie rozczochrane włosy i kilkudniowy zarost. Jego dłonie były małe i białe, dziecięce.

— Czym mogę służyć — sapnął głośno i westchnął.

Nevers wręczył mu list i starał się zauważyć, czy Leitao spojrzy nań podejrzliwie. Leitao szukał czegoś; bez wyrazu, powoli, otwierał i zamykał jedną po drugiej szuflady biurka. W końcu wyjął nóż do papieru. Delikatnie otworzył kopertę, wyciągnął list i rozłożył go na stole. Westchnął, szukał niecierpliwie w kieszeniach piżamy, póki nie znalazł chusteczki; potem szukał okularów. Przetarł je, założył, przeczytał list. Położył okulary na biurku, przesunął dłonią po twarzy i wyprostował się z westchnieniem.

— Jak się czuje pan gubernator? — zapytał z uśmiechem, który Neversowi wydał się wymuszony.

— Nie najlepiej — odparł Nevers.

Leitao westchnął. Powiedział:

— Pan gubernator to wielki człowiek, wielki człowiek. Ale nie dowierza nauce. Nie wierzy lekarzom. Wielka szkoda. — Wstał, ciężki i olbrzymi, zabrał list i wyszedł.

W pół godziny później Nevers, nadal sam, obmyślał lekko ucieczkę, obawiał się bardzo jakiejś zasadzki. Wszedł Leitao: w dwóch palcach, białych i grubych, trzymał jakąś staranną paczkę.

— Tu pan ma — powiedział wręczając paczkę Neversowi. — Niech pan przekaże gubernatorowi moje wyrazy szacunku.

Przesunął dłońmi po twarzy, westchnął, pochylił się ciężko. Nevers wycedził słowa pożegnania i wycofał się tyłem przez pokój, wycofał się przez korytarz, na ulicę.

*Współczułem — pisze — temu ospałem, zasiedziałem w Cayenne przemytnikowi. Współczułem wszystkim osobom i rzeczom, które widziałem. Pozostawały tam niczym ludzie, których widzi się z okna na peronach wiejskich stacyjek: moim niezastępowalnym szczęściem był wyjazd.*

## XXXV

### 27 WIECZOREM

Gdy Nevers wrócił na wyspy, nie było jeszcze ciemno. Ktoś dawał mu znaki z Wyspy Diabła. Nie odpowiadał: morze było wzburzone i nie odważył się wypuścić steru. Zaraz też pomyślał, że nie reagując *utwierdzi swą opinię przebiegłego*. Pozwolił, by fale zniosły nieco „Bellerophona” w kierunku Wyspy Diabła: człowiekiem dającym mu znaki był Dreyfus. Po nieprawdopodobnej przygodzie w chacie Deloge'a Nevers nie dowierzał nikomu, nawet Dreyfusowi. Jednakże rozpoznawszy go poczuł wielką ulgę i odruchowo pozdrowił wymachując ręką. Ten gest (sądził) zobowiązywał go do wylądowania na Wyspie Diabła. Dreyfus stał na południowo-wschodnich zboczach, tam gdzie zwykł był przybijać Nevers, i powtarzanymi gestami wskazywał mu kierunek przystani; ale on przycumował do brzegu pod zwieszającym się nad morzem drzewem. Dreyfus podszedł z rozwartymi ramionami.

Nevers pomyślał, że powitanie to stanowi dobry omen, że nie pomylił się wracając na wyspy i wreszcie, że utracił sekretną przystań.

— W samą porę — zawołał Dreyfus. — Nie wie pan, jak bardzo czekałem.

— Dziękuję — powiedział Nevers wzruszony; potem zdawało mu się, że w głosie Dreyfusa słyszy jakiś ton sugerujący nową interpretację powitania. Zapytał:

— Czy coś się stało?

— To, czegośmy się najbardziej obawiali — westchnął Dreyfus. Rozejrzał się dookoła, po czym podjął znowu. — Trzeba uważać na to, co się mówi.

— Czy gubernator zachorował? — zapytał Nevers, *jakby jeszcze wierzył w ataki, jakby nie nastąpił oczywisty epizod w chacie Deloge'a*.

— Zachorował — odpowiedział podejrzliwie Dreyfus.

Uznał Dreyfusa za sprawcę wszystkiego, organizatora zagłady wszystkich. Ale nie powinien zajmować się fantastycznymi pomysłami; raczej stawić im czoła.

Wiatr ucichł. Stał się zarozumiały oświadczając, że bezpieczeństwo i stały ład to zalety, *które tylko my, marynarze, potrafimy docenić*. Poszli w górę, aż do gaju palmowego. Zatrzymał się: nie było mu spieszno do centralnego pawilonu *ani do wszystkich nietatwych sytuacji, które będzie musiał rozwiązać*. Zapytał spokojnie:

— Czy kapitan Ksawery Brissac już przyjechał?

— Kto?

— Kapitan Ksawery Brissac.

— Nie. Tu nikt nie przyjeżdżał.

— Ani go nie oczekujecie?

— Nie wiem...

Nie musi wiedzieć, pomyślał Nevers. *A jednak — pisze — z trudem powstrzymałem się przed tym szaleństwem: Dreyfus nie wiedział o rychłym przyjeździe Ksawerego, bo rychły przyjazd Ksawerego nigdy nie nastąpi. Wszystko to wymyśliłem sam, w rozpaczliwym pragnieniu wyjazdu. Ale było już wystarczającym złem, że statek Ksawerego opóźniał się...*

— I sądzi pan, że ten kapitan przyjedzie?

- Byłoby bardzo dobrze. Jest nas tak niewielu.
- Niewielu? Do czego?
- Niech pan nie zapomina o sytuacji na wyspach. Gubernator kilka dni temu zachorował, jesteśmy bez dowództwa.
- Obawia się pan czegoś?
- Aż tak, to nie. Ale pański kapitan może przybyć zbyt późno.

## XXXVI

Zapytał, czy Dreyfus byłby przeciwko, czy też za konspiracją. Dreyfus oświadczył z godnością:

— Będzie chyba jakieś większe nieszczęście. Bałem się, że przewrót nastąpi, gdy będę sam, tylko z chorymi i panem De Brinon.

Nevers uznał, że sytuacja wygląda na poważną, że nie zależy mu na utrzymaniu prestiżu wobec Dreyfusa; bowiem nie pora myśleć o prestiżu, lecz o sytuacji. Powtórzył sobie tę decyzję cztery albo pięć razy.

Weszli do pawilonu centralnego; unosiła się tam woń środków dezynfekcyjnych i jedzenia; zapach szpitala, pomyślał Nevers. Patrzył zakłopotany na kolorowe plamy na ścianach, czerwone, niebieskie, żółte. Było to słynne „maskowanie” wnętrza; patrzył na nie bez ciekawości; miał ochotę już odejść. Zapytał:

— Gdzie jest gubernator?

— W celi. W jednej z czterech, które są w pawilonie...

— Pan go zamknął w celi! — krzyknął Nevers.

Dreyfus wyglądał na urażonego. Tłumaczył:

— To nie moja wina. Spełniam tylko rozkazy, które mi dają.

— Które *to* daje?

— Gubernator. Co do mnie, sam nigdy bym tego nie zrobił. Spełniam rozkazy. Gubernator powiedział, żebyśmy wsadzili go do jednej z cel.

— Niech mnie pan tam zaprowadzi. Chcę natychmiast rozmawiać z panem gubernatorem.

Dreyfus spojrzął nań przejęty. Powtórzył:

— Rozmawiać z panem gubernatorem?

— Nie słyszał pan? — zapytał Nevers.

— Pan gubernator nie wysłucha pana. Nie poznaje nikogo.

— Chcę z nim mówić.

— Rozkaz — powiedział Dreyfus. — Ale wie pan, jest noc. Rozkazano, żeby nie przeszkadzać chorym w nocy.

— Chce mi pan wmówić, że chcąc go zobaczyć muszę czekać do jutra?

— Żeby zobaczyć, to nie. Zobacz go pan z góry. Ale błagam, niech pan nie hałasuje, on nie śpi.

— Skoro nie śpi, dlaczego nie mogę z nim mówić?

Żałował, że wszczął dyskusję z Dreyfusem.

— Żeby z nim porozmawiać, musiałby pan czekać do jutra, aż zaśnie.

Nevers sądził, że to już przejaw buntu i że ironia Dreyfusa nie była li tylko powierzchowna: była również ordynarna. Ale Dreyfus był poważny. Więc nieco łagodniej powiedział mu, że nie rozumie.

— A pan myśli, że ja rozumiem? — zapytał Dreyfus, rozdrażniony. — Taki jest rozkaz gubernatora. Tu mamy wszystko na opak i wszyscy skończymy jako wariaci. Ale ja jestem tu po to, żeby wypełniać rozkazy.

— Czy to zgodnie z rozkazem należy rozmawiać z chorymi, kiedy śpią?

— Właśnie. Kiedy mówi pan do nich w nocy, nie słyszą albo udają, że nie słyszą. Kąpię ich i karmię za dnia.

Mój siostrzeniec sądził, że zaczyna rozumieć. Zapytał:

— Kiedy nie śpią?

— Nie, kiedy śpią. Kiedy nie śpią, nie można im przeszkadzać. Pan Castel zostawił panu jakieś instrukcje na piśmie.

— Niech pan je da.

— Ma je pan Brinon. Jest na Wyspie Królewskiej. Moglibyśmy popłynąć pańską motorówką albo łódką.

— Zaraz popłyniemy. Najpierw pomówię z panem Castelem. — Dreyfus spojrzał nań wielkimi oczyma. Nevers udał, że tego nie widzi. Nie miał zamiaru odejść przed rozmową z gubernatorem.

## XXXVII

— Jeśli chce ich pan zobaczyć, to proszę.

Dreyfus otworzył drzwi i chciał go przepuścić przodem; Nevers powiedział: „idę za panem”, i chyłkiem, świadomy swej niemocy i teatralności ujął w dłoń rewolwer. Minęli wielkie biuro ze starymi krytymi skórą fotelami i stołem z górą papierów i książek poukładanych w nienagannym porządku.

— Sądzi pan, że to rozsądne oglądać teraz pana Castela? Sytuacja na wyspie jest poważna. Ja nie traciłbym czasu.

— Wykonać! — zawołał Nevers.

Dreyfus wskazał mu grzecznie, by poszedł przodem; zgodził się, żałował, że wyraził zgodę, wszedł po schodach i zatrzymał się przed drzwiami na górze; otworzył je; weszli na jakiś taras, pod wygwieżdżone, przestronne niebo. Na środku tarasu paliła się żółtawa elektryczna lampka.

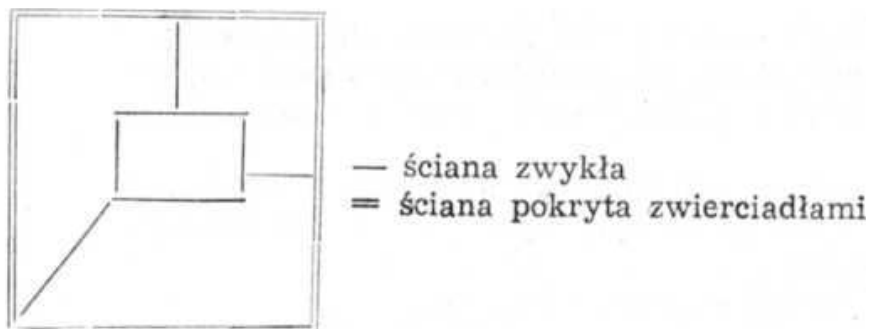
— Niech pan nie hałasuje — doradził Dreyfus. — Zaraz ich zobaczymy.

## XXXVIII

Gwoli lepszemu zrozumieniu nieprawdopodobnych faktów, o których mam zamiar opowiedzieć, tudzież aby czytelnik zdołał sobie jasno wyobrazić tę pierwszą, a tak fantastyczną wizję „chorych”, jaką miał Nevers, opiszę część pawilonu przez nich zajmowaną. W środku, na parterze, był otwarty dziedziniec; w środku dziedzińca jakaś kwadratowa budowla, która niegdyś zawierała cztery jednakowe cele. *Dreyfus poinformował mnie, że gubernator polecił zburzyć jej wewnętrzne ściany* — pisze Nevers. — *Potem rozkazał wznieść je w obecnej formie: wyznaczają cztery różne cele o skandalicznie anormalnych kształtach. Jakie zamiary*

wiązał gubernator z tymi zmianami, to tajemnica, której odkryć nie zdołałem.

Najciekawsze jest, że to odkrył. I owo rozkojarzenie, czyż nie świadczy o jakiejś niezdolności syntetycznego widzenia rzeczy? Albo co innego: może Nevers nie przeczytał tego ostatniego listu przed wysyłką? Dziwaczny zamiar Castela polegał na tym (jak czytelnik zdoła wywnioskować z planu, który załączam do rozdziału), by każda z tych czterech cel miała jedną ścianę wspólną z każdą z trzech pozostałych.



Cele nie mają sufitów; są pilnowane z góry. Kiedyś przejścia albo galeryjki wychodzące z tarasu i przecinające cały dziedziniec krzyżowały się nad celami. Castel zlikwidował właśnie tę ich część i poszerzył górny gzyms ścian w ten sposób, by służył za przejście dla strażników. Nevers zauważa: *nie ma tu balustrady, a ściany są bardzo wysokie; niegdysiejsze galerie musiały być o wiele bardziej pewne.*

Kilka płócien żaglowych pozwalało osłonić cele i cały dziedziniec. Umieszczono je z rozkazu Castela, na wypadek deszczu.

Jedna z cel umieszczona była pośrodku. *Gdybym miał się zamknąć w którejś z nich — pisze Nevers — wybrałbym właśnie tę. Przynajmniej byłbym wolny od gorączkowego koszmara zwierciadeł.* Napomyka — i jak zwykle dramatyzuje — o wielkich i lichych lustrach, które były w innych celach. Pokrywały od strony wewnętrznej wszystkie ściany sąsiadujące z dziedzińcem.

## XXXIX

Podszedł do bariery i spojrzął w dół: stojący pośrodku pawilon bez dachu, dziedziniec i otaczające go ściany, wszystko to było pokryte jaskrawymi plamami: czerwonymi, żółtymi i niebieskimi. *Delirium tremens*, pomyślał. Dodaje: *Wydawało się, że to jakaś osoba o obrzydliwym guście przystrajała ten dziedziniec na coś w rodzaju święta*, i wspomniał „Piekło”, *melancholijny* lokal taneczny w Brukseli, gdzie poznaliśmy pewną interesującą grupę młodych malarzy.

Poszedł wzdłuż galerii; na skraju pawilonu bez dachu zatrzymał się; po chwili wahania ruszył po gzymsie ściany. Przejść z jednej galeryjki na drugą (idąc po gzymsie ściany nad pawilonem) nie było trudno. Pomyślał, że powinien iść bez zatrzymania się i przejść na drugą stronę; przystanął. W końcu zapomniał o samym sobie. W pierwszej chwili oglądania ohydne go widoku musiał zapewne poczuć coś w rodzaju zawrotów głowy albo mdłości (tyle że powodem doznań nie był bynajmniej brak poręczy). Cele były pstrokate; nie miały żadnego innego otworu poza sufitem; drzwi zlewały się z plamami ścian; w każdej celi stał jakiś „chory”; ci czterej chorzy, o pomalowanych jak u Kafrów twarzach, z żółtą farbą na wargach i w

identycznych piżamach w żółte i niebieskie paski, byli nieruchomi, ale w postawie takiej, jakby się poruszali, i Nevers odniósł wrażenie, że czynności ich były od siebie uzależnione, tworzyli zespół lub to, co w *music hallach* nazywają żywym obrazem (ale sam zaraz dodaje: nie było żadnego otworu, przez który można by zajrzeć z jednej celi do drugiej). Podejrzał, że tylko udawali, że wszystko było jakimś nieobliczalnym żartem, aby go zmylić lub zabawić w złym tego słowa znaczeniu. Postanowił dokonać bezzwłocznej konfrontacji z Castelem. Stracił panowanie nad głosem i krzyknął:

— Co to wszystko ma znaczyć?

Castel nie odpowiedział; nawet najmniejszy skurcz jego twarzy nie oznajmiał, że słyszy. Krzyknął ponownie. Castel trwał nieporuszony; wszyscy chorzy trwali nieporuszeni.

Zauważył, że zmienili pozycje. Przez chwilę myślał, że zrobili to gwałtownie, kiedy on patrzył na gubernatora; potem odkrył, że się ruszali, ale w sposób nieuchwytny, z powolnością wskazówki zegarka.

— Wołanie nie ma sensu — zauważył Dreyfus. — Nie słyszą, a może nie chcą słuchać.

— Nie chcą słuchać? — zapytał Nevers z powstrzymywaną emfazą. — Przecież pan powiedział, że udają. Więc są chorzy czy nie?

— Najwyraźniej. Ale ja rozmawiałem z nimi, i to bez krzyku — niech pan to weźmie pod rozwagę — bez podnoszenia głosu. I nagle przestawali mnie słuchać, jakbym mówił po turecku. Krzyk nic nie daje. Byłem obrażony: myślałem, że kpią sobie ze mnie. Nawet pomyślałem, że to ja straciłem głos, choć moje wołania aż mnie ogłuszały.

— Postradali zmysły?

— Pan wie, jak się zmienia człowiek osłabiony przez gorączkę i chorobę.

Wydawało się niewiarygodne, że można być zdrowym na umyśle i widzieć tych czterech mężczyzn, jak cztery figury woskowe, tworzących żywy obraz we wzajemnie odizolowanych celach. Wydawało się nieprawdopodobne, by gubernator będąc zupełnie normalny przybrał ściany cel tą powodzią chaosu. Potem Nevers przypomniał sobie, że w sanatoriach dla nerwowo chorych pomieszczenia miały kolor zielony, żeby ich uspokoić, lub czerwony, by ich pobudzić. Spojrzał na malowidła. Przeważały trzy kolory: czerwony, żółty, niebieski; poza tym były tylko kombinacje ich odcieni. Spojrzał na ludzi. Gubernator, z ołówkiem w ręku, powtarzał jakieś nieuchwytnie słowa przechodząc stopniowo od stanów lęku do desperacji, od desperacji do radości. Favre, grubszy niż zazwyczaj, płakał bez najmniejszego ruchu twarzy, w swej krańcowej brzydocie postaci z farsy. Ksiądz grał rolę osaczonej bestii: z opuszczoną głową, z przerażeniem w oczach, zdawał się krążyć w koło, choć był nieruchomy. Deloge (najmniejszy i rudowłosy) uśmiechał się bez powodu, jakby był w niebie i czuł się szczęśliwy. Nevers poczuł odległą obecność jakiegoś wspomnienia i wyraźnie złe samopoczucie; potem dojrzał to wspomnienie: jakąś napawającą lękiem wizytę w Muzeum Grevin, w wieku lat ośmiu.

W celach nie było łóżek ani krzeseł, ani żadnych sprzętów. Zapytał Dreyfusa:

— Sądzę, że wstawiają im łóżka do snu.

— Ależ skąd — Dreyfus był nieubłagany. — To rozkaz gubernatora. Niczego nie dostają. Żeby wejść do cel, zakładam taką samą piżamę jak oni.

Nevers nie słuchał go.

— To rozkaz gubernatora — wymruczał. — A nie istoty ludzkiej. Nie jestem w stanie go wykonać.

Wymówił zrozumiale dwa lub trzy ostatnie słowa.

— Śpią na tych materacach — wyjaśnił Dreyfus.

Nie zwrócił na nie uwagi. Leżały na ziemi i były malowane w ten sposób, że zlewały się z resztą płam.

Poczuł wstręt; nie strach. Ci czterej ludzie wydawali się bezbronni. Wyobraził sobie — co sam określa jako przelotne szaleństwo — że byli pod wpływem jakiegoś alkaloidu, a

Dreyfus był sprawcą wszystkiego. Jednakowoż zamiary, jakie żywił Dreyfus, i to, czego oczekiwał od niego, nie mogło być objawami szaleństwa.

## XL

*Czy winę za wszystko ponosi gubernator? Nie wyglądało to na prawdopodobne: on sam był jednym z „chorych”. A jednak — ciągnie Nevers — zdarzają się tacy, którzy dokonują operacji na samych sobie, którzy sami się zabijają. Może uspił ich i uspił sam siebie na jakiś dłuższy okres; może na całe lata; może aż do śmierci. Niewątpliwie Dreyfus podaje im (świadomie czy nieświadomie) jakiś narkotyk. I może — wkraczał w euforię zmysłów — narkotyk ten wywołuje dwa zmienne typy snów odpowiadających naszemu snowi i naszemu czuwaniu. Jeden ma charakter wypoczynku: pacjenci mają go za dnia. Inny — służy wykonywaniu czynności; następuje w nocy, która stwarza większą pustkę niż dzień, jest uboższa w fakty zdolne zakłócić sen. Pacjenci poruszają się jak lunatycy, ich los, przez to że go śnią, nie jest bardziej przerażający ani nieokreślony niż los ludzi na jawie; możliwe, że jest łatwiej przewidywalny (choć nie mniej rozmaity), zależy wszakże od historii i woli podmiotu. Po tych, jakże ubogich, elukubracjach Nevers wkracza w nie wiedzieć jaką metafizyczną fantazję, powołuje się na Schopenhauera i z namaszczeniem streszcza jakiś sen: zdawał egzamin i czekał na werdykt egzaminatorów. Oczekiwał go z utęsknieniem i strachem, bo od ich opinii zależało jego życie. Zauważa wnikliwie: A jednak ja sam podyktuję werdykt, gdyż egzaminatorzy, podobnie jak cały sen, są uzależnieni od mojej woli. Stwierdza poufnie: Chyba cały los (choroby, pomyślność, nasz wygląd fizyczny, niepowodzenia) zależą od naszej woli.*

Roztrząsał te problemy, a obecność i zaciekawienie Dreyfusa przeszkadzały mu. Musiał podjąć jakąś decyzję co do swoich najbliższych posunięć; postanowił zyskać na czasie.

— Idziemy do biura — powiedział głosem, który miał zabrzmieć autorytatywnie, lecz wypadł piskliwie.

Zeszli z tarasu, zamknęli drzwi i Nevers zasiadł w obrotowym fotelu przed stołem gubernatorskiego gabinetu. Uroczystym gestem nakazał usiąść Dreyfusowi. Dreyfus, najwyraźniej pod wrażeniem, przysiadł na brzeżku krzesła. Nevers nie wiedział, o czym mają rozmawiać, ale stwierdził, że jeśli chce przejąć panowanie nad sytuacją, powinien mówić stanowczo. Dreyfus tego właśnie po nim oczekiwał. Poczuł inwencję; zapytał z trudem kryjąc entuzjazm:

— Czy gubernator zostawił mi jakieś instrukcje?

— Z całą pewnością — odrzekł Dreyfus.

— Czy pan je ma?

— Ma je pan De Brinon.

— Gdzie jest pan De Brinon?

— Na Wyspie Królewskiej.

Był to tylko pozorny dialog i Nevers słuchając odpowiedzi myślał o czym innym. Patrzył na wagę albo urnę rzymską stojącą na biurku. Był na niej fryz, jakieś tancerki, starcy i młodzieniec odprawiający obrzęd *per aes et libram* \*: pośród nich spoczywała martwa dziewczyna.

— W jaki sposób można tam dotrzeć?

— Mamy łódkę. Poza tym jest pańska motorówka.

\* *per aes et libram* (łac.) — akt formalnego kupna



Nie był zawstydzony z powodu swego pytania.

Rozmyślał spokojnie, że dziewczyna z wazy musiała umrzeć w przeddzień swego ślubu i niewątpliwie urna zawierała jej szczątki. Być może zawiera nadal. Urna była zamknięta.

— Ale tej nocy nie kiwnąłbym nawet palcem, panie poruczniku., Popłynąłbym dopiero jutro.

W głosie Dreyfusa dźwięczała trwoga. Nevers zastanawiał się, czy była ona prawdziwa, czy też udawana.

— A dlaczego nie dzisiaj?

Chciał sprawdzić, czy waza zawiera cokolwiek, i wstał, by nią potrząsnąć. Dreyfus przypisał jego ruch doniosłości problemu.

— Tak będzie lepiej, panie poruczniku — zawołał. — Niech pan odłoży podróż do jutra, a tej nocy wyjaśnię panu, dlaczego.

Nevers nie odpowiadał.

— Nie ma się o co gniewać — podjął Dreyfus ze swą najbardziej wymowną słodyczą. — Gdybym był w pańskiej skórze, zasięgnąłbym mojej rady, ustalilibyśmy jakiś plan i gotów byłbym czekać na tego kapitana, o którym pan mówił, że przyjedzie.

Postanowił udać się niezwłocznie na Wyspę Królewską. Bał się, że będzie niesprawiedliwy wobec gubernatora i teraz wołał raczej zająć się instrukcjami, które ten mu pozostawił; jego powrót — uzasadnia — być może spowoduje należyte opamiętanie wśród buntowników.

— Więc jedzie pan, czy zostaje?

Pytanie było sprytne. Dreyfus już nie protestował; jego zmartwienie polegało na tym, by nie opuszczać chorych.

Nevers wyszedł z pawilonu i doszedł aż do drzewa służącego jako pal przystani. Wsiadł do motorówki; bardzo szybko dopłynął na Wyspę Królewską. Żałował, że nie zawiązał tam bardziej ostrożnie. Nie powitał go żaden ze strażników. Zadawał sobie pytanie, czy tamto zręczne zwycięstwo nad Dreyfusem nie było przypadkiem nieszczęściem. Wyspa tonęła w mroku (w oddali, w szpitalu i w Zarządzie, płonęły nieliczne światła). Zastanawiał się, skąd należałoby zacząć poszukiwanie De Brinona. Postanowił zacząć od szpitala.

Gdy wspinał się pod górę, wydało mu się, że widzi dwa cienie kryjące się wśród palm. Pomyślał, że należy zwolnić kroku. Szedł bardzo powoli. Natychmiast zrozumiał torturę, na jaką się zdecydował... Przez jakiś czas, który wydał mu się długim niczym okrutny sen, przesiedział wśród nagich pni palmowych. W końcu doszedł do szpitala.

Był tam De Brinon. Nevers ani przez chwilę nie wątpił. Po raz pierwszy widział tego atletycznego młodzieńca o szczerej, otwartej twarzy i inteligentnym spojrzeniu, jak skupiony pochylał się nad jakimś chorym. To musiał być De Brinon. Nevers poczuł wielką ulgę. Zapytał (nie dlatego, by interesowała go odpowiedź, lecz żeby zacząć mówić):

— Czy pan De Brinon?

## XLI

Z wnętrza dobiegał go jakiś radosny zgiełk.

Otworzył drzwi napotkał przytłaczającą ciemność, gdzie w ciszy i zaduchu drżały trzy żółtawe płomienie świec. Tuż obok nich lśniła twarz o wyrazie ukontentowania. De Brinon uniósł głowę; jego spojrzenie było inteligentne, uśmiech szczery. Odpowiedział:

— Czego pan sobie życzy?

Nevers mówi, iż miał wrażenie, że dystans dzielący go od De Brinona prysnął, a głos —

brutalnie — zabrzmiał tuż u jego boku. Mówi, że dźwięk, który słyszał, nazywa głosem, gdyż De Brinon najwyraźniej był człowiekiem; niemniej jednak słyszał bek owcy. Zdziwiający bek wydawany przez owcę. Dodaje też, że wydawał mu się on głosem naśladowującego owcę brzuchomówcy i że De Brinon mówiąc prawie nie otwierał ust.

— De Brinon to ja — ciągnął dziwny głos i Nevers rozpoznał go: był to jeden z głosów, które słyszał na Wyspie Diabła w noc swojej ucieczki. — Czego pan sobie życzy?

Mógł odgadnąć, że jego ton był uprzejmy. W żywych oczach skrzyła się jakaś chłopięca radość i Nevers zaczął podejrzewać, że De Brinon był niedorozwinięty.

Zaczął rozglądać się w mroku sali. Było tu czterech więźniów. Wydało mu się, że patrzą nań z irytacją. Nie było żadnego strażnika. Od czasu jego ostatnich odwiedzin brud i nieporządek powiększyły się.

De Brinon operował głowę jednego z chorych; dłonie i rękawy miał umazane krwią.

Nevers spróbował przemówić stanowczo:

— Proszę o instrukcje, które zostawił dla mnie pan gubernator.

De Brinon zmarszczył brwi, spojrział na niego z wielką żywością i spurpurowiał na twarzy.

— Nic nie wiem o instrukcjach od pana gubernatora. Nic nie wiem.

Wycofywał się niczym osaczone zwierzę. Wobec takiego wroga Nevers poczuł przypływ odwagi; zapominając o innych, którzy przyglądali mu się z ciemności, powiedział oschle:

— Dawaj pan te instrukcje albo pana zastrzelę.

De Brinon wrzasnął, jakby go już dosięgła kula, i zaczął płakać. Ludzie uciekli w płochu. Nevers ruszył z wyciągniętą ręką. Tamten wyjął z kieszeni kopertę i oddał mu skowycząc:

— Ja nic nie mam, ja nic nie mam.

W tym momencie wszedł Dreyfus. Nevers spojrział nań zaniepokojony, ale twarz Dreyfusa była kamienna; w nieruchomej twarzy poruszały się tylko wargi:

— Szybko, panie poruczniku — usłyszał tajemniczy i cichy głos. — Stało się coś poważnego.

## XLII

— Deloge nie żyje — powiedział Dreyfus, kiedy wyszli na zewnątrz.

— Nie żyje? — zapytał Nevers.

Właściwie aż do tej chwili czterech chorzy z Wyspy Diabła wydawali mu się na pograniczu martwoty. A teraz myśl, że Deloge był martwy, wydawała mu się nie do przyjęcia.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nic nie widziałem. Teraz martwią mnie tamci...

— Tamci?

— Nie wiem. Wolę być w pobliżu.

Znów przeszedł przez gaj palmowy. Patrzył uporczywie: sądził, że nie było tam nikogo. Nagle usłyszał kobiecy śmiech i dojrzał dwa niewyraźne cienie. Początkowo doznał niemiłego wrażenia; ten śmiech w obliczu śmierci Deloge'a był dlań czymś obraźliwym; potem zrozumiał, że śmiech wskazywał na ewentualność, iż Dreyfus nie był wariatem... (jeśliby strażnicy byli na swych posterunkach, ich żony miałyby się bardziej na baczości).

Dreyfus nie prowadził go do przystani. Nevers był tak przejęty, że spostrzegł to dopiero

później, wspominając fakty tego niewiarygodnego dnia. Wsiedli do łódki. Dreyfus wiosłował zawzięcie. Bez słowa dopłynęli do Wyspy Diabła.

Przywiązując łódź Dreyfus stracił równowagę i wpadł do wody. Nevers zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie *zamierzał go atakować*. Nie pozwolił mu odejść i przebrać się.

## XLIII

Jego pierwszym zmartwieniem było opóźnienie chwili oględzin Deloge'a, chwili, w której trup wbiłby się okrutnymi szczegółami w jego pamięć. Powiedział stanowczo:

— Przede wszystkim wizja całości. Idziemy.

Przeszedł przez gabinet; jak we śnie; znów oglądał te same stare meble mówiąc sobie, że tragedia, jaką kryły dla niego Wyspy Zbawienia, wreszcie się wydarzyła i że poczuł wielką ulgę; nie czując żadnej ulgi, drżący, wszedł po schodach, przemknął galerijkami dziedzińca i doszedł do celi. Spojrzał w dół.

Wyglądało na to, że między tymi ludźmi zachodzi jakiś *telepatyczny* związek. Jakby wiedzieli, że zaszło coś strasznego; jakby sądzili, że to samo spotka każdego z nich. Ich postawy (ich niedostrzegalne ruchy) były jak u ludzi oczekujących ataku; nieruchomi, krążyli pochłonięci jakimś powolnym tańcem, niczym w szermierczych zwodach przed nieprzyjacielem, nieprzyjacielem niewidzialnym dla Neversa. Znowu podjął hipotezę szaleństwa. Zastanawiał się, czy opętani tym samym szaleństwem mają jednocześnie te same wizje.

Potem utkwiał wzrok w zmarłym. Deloge leżał na podłodze obok jednej ze ścian celi, z rozdartą bluzą i jakimiś strasznymi, ciemnymi plamami na szyi.

Znów popatrzył na resztę. Teraz, w swych bojowych czynnościach, sprawiali wrażenie patetycznie bezbronnych. Zastanawiał się, jaka to nienawiść mogłaby usprawiedliwiać prześladowanie i mord tych nieszczęśników.

Dreyfus obserwował go badawczo; ruszył w kierunku tarasu. Nevers poszedł w ślad za nim. Zeszli, przecięli gabinet i dziedziniec.

W tej strasnej chwili widział się jakby z zewnątrz, nawet pozwolił sobie na żarty z samego siebie: przypisywał — nie siląc się na większą oryginalność — „maskowanie” dziedzińca niejakiemu Van Goghowi, malarzowi modernście. Pomyślał, że on sam pozostanie w swej pamięci niczym w piekle, urządzając sobie żarty na tym dziedzińcu pstrokatego koszmaru, zmierzając w kierunku zgrozy. A jednak gdy doszli do drzwi celi, uspokoił się na tyle, by spytać Dreyfusa:

— Czy drzwi są zamknięte na klucz?

Dreyfus drżąc ze strachu albo z zimna (było tak wilgotno, że nie schło mu ubranie), odpowiedział twierdząco.

— A kiedy umarł Deloge, też były zamknięte?

Dreyfus potwierdził po raz wtóry.

— Czy jest jeszcze jakiś klucz poza pańskim?

— Oczywiście, w gabinecie, w kasie. Ale jedyny klucz od kasy jest u mnie, odkąd pan gubernator zachorował.

— No dobra, niech pan otwiera.

Zamierzał być równie energiczny, jak jego słowa. I chyba coś osiągnął. Wszedł zdecydowanie do celi. Na twarzy i we włosach trupa zasychał pot. Poszarpana bluza i znaki na szyi, nawet dla tak niedoświadczonego, jak on, były wyraźnymi śladami walki.

Powiedział nie bez pewnej satysfakcji:

— Bez wątpienia: morderstwo.

Pożałował: *Powinienem zataić tę myśl przed Dreyfusem. Poza tym — próbuje się usprawiedliwiać — dla Deloge'a sprawa nie miała już znaczenia... i nie powinienem dopuścić, by powstrzymywały mnie nie kończące się majaki Wyspy Diabła; powinienem starannie unikać wszelkich okazji mogących opóźnić mój powrót do Saint-Martin, do mego przeznaczenia, do Irène. Śledztwo w sprawie morderstwa trwałoby długo... I chyba było już za późno.*

## XLIV

Zastanawiał się, jakie motywy mogłyby skłonić Dreyfusa do zamordowania Deloge'a. Przecież sam Dreyfus prosił go, by nie jechał na Wyspę Królewską. Czy tylko po to, żeby go zmylić? A może żeby udaremnić morderstwo, gdyż był maniakiem i mordował, kiedy był sam? Ale przecież aż dotąd Dreyfus był sam na sam z chorymi...

Wyszli z celi i zamknęli ją. Schował klucz. W gabinecie Dreyfus otworzył kasę pancerną; wyjął pęk kluczy, wskazał bez wahania, do czego należy każdy z nich. Były w komplecie. Nevers schował je.

Dreyfus, przemoczony i godny litości, szedł w ślad za nim pokornie jak pies. Nevers uznał go za nieszkodliwego, ale nie pozwolił mu pójść się przebrać. Powiedział sobie, że ponosi szczególną odpowiedzialność, a Dreyfus był jedynym podejrzanym.

Stanął w obliczu rosnącego zbiorowiska tajemnic. Czy były one od siebie niezależne? A może były powiązane i tworzyły jakiś system, może jeszcze niepełny? Zapraęnął sprawdzić instrukcje gubernatora. Dreyfus chciał zobaczyć chorych; poszli. Nevers, gwoli usprawiedliwienia tej liczby mnogiej, przytacza obawy, że Dreyfus mógł uciec albo kogoś zabić.

Ponownie przyjął hipotezę, że organizatorem wszystkiego był Dreyfus; rozważył podstawy poszlak wskazujących na niego i był przekonany, bardziej niż kiedykolwiek, o jego; niewinności. Zapraęnął zbliżyć się do niego, wyznać podejrzenia, które żywił, aby Dreyfus mu wybaczył i aby wspólnie stawili czoła zagadkom. Odwlekał tę potrzebę ducha; wiedział, że najrozsądniej jest zachować ostrożność aż do końca. Następnego dnia przyjedzie Ksawery, a on da mu bezstronne sprawozdanie faktów; gdyby Ksawery nie przyjechał, weźmie „Bellerophona” i złoży zeznania przed władzami w Cayenne. Wtedy przypomniał sobie, że Dreyfus przywiózł go w łódce, zaś „Bellerophon” był na Wyspie Królewskiej.

## XLV

*Należało pozbyć się tej apatii — pisze. Aby zyskać na czasie (nie miałem żadnego planu), celowo postanowiłem przeszukać wyspę. Ledwie zaczął to omawiać z Dreyfusem, dostrzegł niebezpieczeństwo swego zamiaru i zmienił słowo „wyspa” na „dom”. Chyba nie byłoby rozsądnym oddalić się od cel; oddalać się jeden od drugiego o tej porze, w nocy i w ciemnych zaroślach, byłoby krokiem nazbyt zuchwałym.*

Zaczęli od gabinetu Castela. Dreyfus zajął sofę, za kotary, do szaf. *Jeśli przestępca nas widział — komentuje Nevers — straciliśmy cały jego szacunek.* Stał nieruchomo przy drzwiach kierując poczynaniami Dreyfusa, nie spuszczaając z oka dziedzińca i pawilonu

centralnego. Następnie poszli do pokoju, który Dreyfus nazywał „laboratorium”. Był wielki, ubogi, brudny i zniszczony; Nevers przypomniał sobie cuchnącą salę, w której Jaquimot operował psy i koty starych panien z Saint-Martin. W jednym kącie były jakieś dywany i dwa lub trzy parawaniki; wszystkie przedmioty nosiły te same barwy co cele i dziedziniec. Nevers porównał je z paletą malarza i opowiadał nie wiadomo jakie brednie o analogii pomiędzy rzeczami (analogii, która istnieje jedynie w Obserwatorze) i o symbolach (które są jedynym sposobem pozwalającym ludziom ustosunkować się do rzeczywistości).

— Co to ma oznaczać? — zapytał wskazując na parawany.

Pomyślał, że chyba służyły do badania wzroku chorych (daltonistów?). Dreyfus uważał inaczej:

— Szaleństwo mózgu — powtarzał zasmucony. — Czy pan wie, co on robi? Właśnie to, co robi teraz? Przez całą noc nie wypuszcza z rąk papieru i ołówka.

— Niebieskiego ołówka i żółtego papieru? Widziałem. Co w tym niepokojącego?

Nevers zastanawiał się, cóż takiego mogłoby wydarzyć się w celach.

— Nic nie jest tak zabawne, jak wariat — Dreyfus uśmiechnął się z przekonaniem. — Nawet najlepsi kłowni z cyrku. Ale pana gubernatora żal. Chodzi jak bez pamięci i deklamuje nie wiadomo jakie wariactwa o nieruchomych morzach i potworach, które nagle zamieniają się w litery. Wtedy wpada w entuzjazm i zaczyna bazgrać ołówkiem po papierze. Według mnie wyobraża sobie, że pisze.

— To poszukiwanie jest daremne — oświadczył Nevers. — Tracimy tylko czas.

Już chciał zaproponować, żeby obejrzelni cele; zmienił zamiar. Chciał pokazać, że się nie boi. Powiedział opanowanym tonem:

— Morderca może powtarzać nasz obchód, z przodu albo z tyłu. W ten sposób nigdy go nie znajdziemy. Musimy się rozdzielić i pójść każdy swoją drogą, naprzeciwko, aż się spotkamy.

Dreyfus najwidoczniej był pod wrażeniem. Nevers snuł domysły: będzie milczał albo próbował wykrętów. Milczał. Nevers nie nalegał. Czuł dla Dreyfusa dużą sympatię i wiedziony czystym współczuciem stwierdził po raz któryś, że tamten jest mokry i dygoce. Dreyfus odgadł chyba jego myśli.

— Czy mogę się przebrać? — zapytał. — Nałożę suche ubranie i wracam za dwie minuty.

*Musiał naprawdę czuć się bardzo źle — stwierdza Nevers — skoro był zdecydowany spędzić kilka minut sam.*

On zaś chciał natychmiast wrócić do cel.

— Jest tu jakiś alkohol do picia? — zapytał.

Dreyfus odpowiedział twierdząco. Nevers podał mu pół szklanki rumu.

— A teraz chodźmy na górę rzucić okiem na chorych.

Doszli do przejść prowadzących nad dziedzińcem. Dreyfus szedł przodem. Nagle zatrzymał się: był blady (tą szarawą bladością Mulatów) i prawie bez drgnienia twarzy powiedział:

— Jeszcze jeden trup.

## XLVI

Wychylił się.

Favre, ogromny, z opuchłą twarzą, spoglądał z przerażeniem w górę leżąc martwy na

wznak na podłodze celi. W innych celach bez zmian; Ksiądz i gubernator kontynuowali swe pełne niepokoju czynności osaczonych zwierząt pragnących ucieczki lub ataku.

Zeszli, otwarli celę Favre'a (była zamknięta na klucz) i weszli. Oględziny zwłok nakażały im przypuszczać, że Favre zmarł przez uduszenie po zacieklej walce.

Nevers był przygnębiony. Jego obecność nie przeszkodziła zbrodniarzowi. Bo jakże przeciwstawić się człowiekowi, który dusi swe ofiary przez ściany więzienia? Czy seria zakończyła się na Favrze? Czy też brak w niej jeszcze innych chorych? A może wszystkich mieszkańców wyspy? Pomyślał, że nie byłoby niemożliwe, żeby morderca obserwował go z jakiegoś zakątka.

— Wejdźmy do cel — rozkazał szorstko. — Pan wejdzie do celi Księdza, a ja do Castela. Nie chcę, żeby go zabili.

Miał pewien dług względem gubernatora i teraz winien był mu opiekę. Dreyfus patrzył nań niezdecydowany. Nevers odpiął pas z pistoletem, podał mu.

— Niech pan sobie pociągnie łyk — powiedział. — Niech się pan zamknie w celi Księdza i spaceruje tam i z powrotem. W ruchu i z alkoholem będzie panu ciepłej. A z pistoletem raźniej. Jeśli zawołam, niech pan biegnie.

Uścisnęli sobie dłonie i każdy udał się do celi, której miał pilnować.

## XLVII

Cela gubernatora była zamknięta na klucz.

Nevers otworzył delikatnie drzwi i wszedł na palcach starając się nie hałasować. Gubernator stał plecami do drzwi; nie odwrócił się. Nevers sądzi, że nie słyszał, jak wchodzi. Nie wiedział, czy zamknąć drzwi na klucz, czy też nie. W końcu zdecydował się zamknąć, zostawić klucz w zamku i stanąć przy drzwiach. Gubernator stał do niego tyłem; przodem do ściany sąsiadującej z celą Księdza. Krążył (Nevers przekonał się o tym po dłuższej obserwacji) w lewo z niezwykłą powolnością. Nevers mógł się stopniowo przesuwając w prawo i unikać wzroku gubernatora. Nie robił tego ze strachu, choć gesty gubernatora wyglądały groźnie; chciał uniknąć tłumaczeń co do swego przedłużonego pobytu w Cayenne; obawiał się, że gubernator zażąda paczki, którą dał mu Leitao.

Bez większego niepokoju, nawet z roztargnieniem, mógł śledzić powolne ruchy gubernatora; słyszał, jak mruczy jakieś słowa, których nie był w stanie zrozumieć; postąpił krok w prawo i zbliżył się doń za plecami. Gubernator zamilkł. Nevers znieruchomiał; stanie w tej pozycji sztywno i bez ruchu nie było łatwym zadaniem.

Pomruki gubernatora dobiegły ponownie.

Próbował słuchać; podszedł bliżej, by móc usłyszeć. Gubernator powtarzał kilka zdań. Nevers szukał w kieszeni jakiejś kartki, aby poczynić notatki; wyciągnął kopertę z instrukcjami. Gubernator zaczynał coś mówić i natychmiast urywał, jakby zakłopotany. Łącząc fragmenty zdań Nevers zanotował na kopercie:

*Medal to ołówek, lanca to papier, potwory to my, ludzie, a nieruchoma woda jest cementem, a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q.*

Gubernator wymawiał głoski powoli, jakby chciał je utrwalić, jakby chciał wbić sobie w pamięć zawite rysunki. Z rosnącą egzaltacją kreślił na kartce „a”, „b”, „c”; potem znaczył kreski i zygzaki. Zapomniał o ołówku i papierze, które trzymał w ręku; płakał i zaczynał od nowa: „Potwory to my, ludzie...”, powtarzał alfabet z nowatorską nadzieją i zapałem zwycięstwa.

Nevers pomyślał, że powinien przeczytać instrukcje. Ale ruchy gubernatora, choć bardzo powolne, wymagały od niego zmiany miejsca. Jako iż przywykł do powolnego ruchu, wydawało mu się, że niebezpiecznie odsunął się od drzwi. Potem zrozumiał, że może je osiągnąć w dwóch krokach. Byłoby szaleństwem (pomyślał) wyobrazić sobie, że ta powolność ruchów była udawana. Gubernator zatracił szarawą bladość; mały, rumiany i z mlecznobiałą brodą, zdawał się być dzieckiem w niefortunnym kostiumie gnoma. Miał szeroko otwarte oczy i wyraz nieszczęsnej trwogi.

Pomimo zamiaru utrzymania się w ciągłej gotowości powolny taniec zaczynał go męczyć. Pomyślał, że nie zaszkodzi trochę się rozluźnić, gdyż nawet najbardziej spóźniony ruch pozwoliłby mu wyjść z zasięgu wzroku gubernatora. Jednakże kontynuując swe ospałe czynności zapomniał przez chwilę, że nie powinien poświęcać tyle uwagi gubernatorowi, co raczej niewiarygodnemu zabójcy, który mógł tu wkroczyć znienacka.

Potem badał plamy farby na ścianach i na podłodze celi. Ściany pokrywały żółte i niebieskie plamy w pojedyncze czerwone żyłki. Na podłodze, tuż obok ścian, biegł jakiś pas malowany na niebiesko i żółto; resztę podłogi stanowiły kombinacje wspomnianych trzech kolorów i grup kolorów pochodnych. Nevers zanotował następujące:

a) stare złoto	b) lila	c) szkarłatny	d) ultramaryna	e) liliowy
błękitny	cytrynowy	szafran	kanarkowy	złoty
karmin	płowy	błękit morski	purpura	ognisty

Osadzony we wgłębieniu podłogi materac był koloru kanarkowego, purpurowego i ultramaryny. Przypomnił sobie, że cały dziedziniec (podobnie jak ściany) był pomalowany w żółte i niebieskie plamy z czerwonymi żyłkami. Częstotliwość żyłek była regularna.

Ta swoista regularność zasugerowała mu, iż cały ten zgiełk barw kryje jakieś znaczenie. Zadawał sobie pytanie, czy nie miało to związku ze zgonami.

## XLVIII

Otworzył kopertę i przeczytał:

„DO HENRYKA NEVERSA:

Czytając niniejszy list poczuje się pan urażony, a jednak muszę go napisać. Dał mi pan wyraźne i częste dowody, iż nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Powie pan zapewne, że list ten to jeszcze jedna manifestacja mego nieprawdopodobnego uporu; a ponadto, że jest to manifestacja pośmiertna, jako iż będzie mnie pan uważał za indywiduum cokolwiek żywsze od nieboszczyka, ale o wiele bardziej martwe niż konający. Niech mi pan wierzy, że nie mam czasu, by przekonywać pana w przyszłości. Może mnie pan wysłuchać w tym spokojnym przeświadczeniu, że Piotr Castel, którego pan poznał i odtrącił, nie będzie już więcej panu przeszkadzać.

Zacznę od początku; bo właśnie na początku należy szukać powiązania jednego z drugim. Przyjechał pan na te wyspy z uprzedzeniem, które przynosi panu zaszczyt, gotów odnosić się do wszystkiego ze wstrętem. Ja zaś dokonałem odkrycia i potrzebowałem współpracownika. Bóle, które dokuczały mi w ostatnich latach, wzrosły i zrozumiałem, że pozostało mi już niewiele życia.

Potrzebowałem jakiejś osoby zdolnej do przekazania moich wynalazków społeczeństwu. Mógłbym udać się do Francji, ale nie wcześniej niż po złożeniu prośby o dymisję i odroczeniu, aż zostanie zaakceptowana, aż przyjedzie mój następca. Nie wiedziałem, czy będę

w stanie wytrzymać tak długo. Potem oznajmiono mi pański przyjazd do kolonii; że będę miał za pomocnika autora *Sądów z Oléron*. Niech pan sobie wyobrazi moją ulgę, radość i niecierpliwość. Czekałem na pana z ufnością, powtarzałem sobie: to człowiek wykształcony; samotność i niezłomne zainteresowanie moimi odkryciami zbratają nasze dusze.

Zauważyłem potem, że mógłbym mieć trudności. Należało przeprowadzić doświadczenia, które zawarłyby w sobie obojętność wobec praw ludzkich, a nawet wobec życia pewnych ludzi albo przynajmniej zawierałyby jakąś określoną wiarę w transcendencję moich odkryć. Wiedziałem tylko tyle, że jest pan człowiekiem wykształconym. Czy zgodziłby się pan na dokonanie tych eksperymentów? Czy starczyłoby mi życia. by pana przekonać?

Oczekiwałem więc pana ze zrozumiałym niepokojem. Ten niepokój, celowy brak wyjaśnień i pańskie uprzedzenie do wszystkiego, co było na wyspach, wytworzyły u pana usprawiedliwiony wstręt. Daremnie próbowałem go przezwyciężyć. Niech mi się pan pozwoli zapewnić, że teraz czuję do pana ogromną urazę. I niech mi pan wierzy, że jeśli zlecę panu przekazanie mojego odkrycia i zostawiam część moich dóbr, to tylko dlatego, że nie mam innego wyjścia.

De Brinon nie byłby w stanie ogłosić wynalazku. Posiada zdolności manualne; nauczyłem go pracy; będzie potrzebny przy pierwszych transformacjach; ale De Brinon jest chory. Rozpatrzmy kandydaturę Bordenave'a: ze względu na swój status zesłańca-osiedleńca nie może opuszczać kolonii, a jako że jest tylko podwładnym, nie wysłuchano by go. Mógłbym powierzyć wynalazek moim przyjaciołom we Francji, ale zanim list doszedłby do Francji, a oni podjęliby niezbędne kroki, cóż by się stało? Cóż by się wtedy stało z dowodami moich tez, dowodami z krwi i kości? Mój wynalazek ma charakter transcendentalny — jak sam pan się przekona — i aby nie poszedł w zapomnienie, pozostaje mi jedynie powierzyć go panu; ufam, że i panu nie pozostanie nic innego, jak tylko przyjąć polecenie dane wbrew moim intencjom.

Myślałem, że mam jeszcze trochę czasu; nagle przekonałem się, że muszę podjąć natychmiastową decyzję. Bóle wzrastały. Wysłałem pana do Cayenne, aby pan przywiózł — poza prowiantem i innymi rzeczami, których zabrakło w więzieniu — środek uspokajający, który pozwoliłby mi zapomnieć o chorobie i pracować. I albo pan Leitao rzeczywiście nie posiadał tego środka — w co trudno uwierzyć — albo nie chciał go pan przywieźć. Bóle wzrastały, aż stały się nie do zniesienia; postanowiłem sam dokonać kroku, do którego z przyczyn moralnych doprowadziłem skazanych Marsillaca, Favre'a i Deloge'a, krok, który z przyczyn moralnych — ze względu na kłamstwa, które pan głosił — zamierzałem zlecić panu; odtąd przestają działać jako człowiek nauki, by przekształcić się w jej obiekt; odtąd nie będę odczuwał bólu, lecz słyszał (już na zawsze) pierwsze takty *Symfonii e-moll* Brahmsa.

Do listu, prócz testamentu, załączam opis moich odkryć i metody ich zastosowania”.

Nevers odwrócił kartkę; na drugiej stronie przeczytał:

## TESTAMENT

„Wyspa Diabła, dnia 5 kwietnia 1914... Jeśli rząd francuski przychyli się do którejkolwiek z dwóch prośb (a i b), które przedstawiam poniżej, dziesiąta część moich dóbr winna przypaść porucznikowi marynarki Henrykowi Nevers, jako wynagrodzenie za poniesione trudy.

a) Żebym ja, gubernator kolonii, oraz skazani Marsillac, Deloge i Favre przebywali w tych celach aż do śmierci pod pieczęcią osiedleńca Bordenave, dopóki ten żyje, a następnie wyznaczonego pielęgniarza, który winien postępować według instrukcji, jakie zostawiam wspomnianemu Bordenave.

b) Żebym ja, gubernator kolonii, tudzież skazani Marsillac, Deloge i Favre zostali przewiezieni na statku, w czterech kabinach malowanych tak jak te cele, aż do Francji, a tam niech nas ulokują w domu, który winien być zbudowany w mojej posiadłości St. Brieux; dom



winien mieć dziedziniec taki sam jak w pawilonie i cztery cele identyczne jak te, w których się znajdujemy.

Jeśli którakolwiek z tych próśb zostanie rozpatrzona przychylnie, wydatki zostaną pokryte z pozostałych dziewięciu części moich dóbr, które winny być zdeponowane...”

Następują wskazówki co do malowania sufitów cel (uwaga moja: cele na wyspie nie posiadają sufitów); polecenia dla pielęgniarza; pogróżki pod adresem rządu (na wypadek gdyby nie zadośćuczynił żadnej z próśb; stwierdza dobitnie, że: „ciąży na nim odpowiedzialność wobec potomności...”) i jakaś tajemnicza klauzula końcowa: „Jeśli po śmierci nas wszystkich (nawet Bordenave'a) pozostanie jakaś część moich dóbr, należy je przekazać R.P.A.” Znaczenie tego skrótu to zagadka, której nie byłem w stanie rozwiązać; Dowierzam ją wnikliwej dowolności czytelnika.

## XLIX

Nevers twierdzi, że daremny wstyd i źle hamowany żal (z powodu jego postępowania wobec gubernatora) zaćmiły mu umysł i że musiał się zdobyć na wielki wysiłek, by zrozumieć te zadziwiające zdania; przyznaje, że mniej więcej na kwadrans zapomniał o czuwaniu nad gubernatorem, ale twierdzi, że jego roztargnienie nie było aż tak wielkie, by nie był w stanie zauważyć wejścia i wyjścia zbrodniarza. Rozumiem go, gdyż lektura nie była zbyt pasjonująca oraz ponieważ — poza powieściami — tak bezgraniczne roztargnienie nie jest rzeczą normalną. Jesteśmy więc gotowi podzielać jego zdanie, że zanim skończył czytać testament Castela, nie nastąpiło nic, co mogłoby gwałtownie poruszyć jego uwagę; to, co nastąpiło potem, zaliczyć należy do kategorii faktów popartych świadectwem, a stwierdzenie, czy świadek kłamie, myli się, czy też mówi prawdę, to już kwestia, którą można rozwiązać jedynie za pomocą logicznych badań kompletu zeznań.

Nevers mówi, że usłyszał jakieś zduszone jęki; że był moment, w którym słuchał ich prawie nieświadomie, dopiero potem zwracając na nie uwagę; kolejność ta, choć zarejestrowana w jego umyśle, była szybka. Kiedy podniósł wzrok, gubernator stał w tej samej pozycji, w której znajdował się w czasie jego wejścia, ale z rękoma wyciągniętymi do przodu, chwielejąc się. Pierwszym, co pomyślał, była rzecz niewiarygodna, że dał gubernatorowi wystarczającą ilość czasu, by mógł zmienić pozycję i spostrzec go. Zastanawiał się, czy twarz gubernatora byłaby tak fioletowa i sina ze zgrozy z powodu samej jego obecności w celi; zastanawiał się nad tym myśląc stan Castela z somnambulizmem i przypominając sobie stwierdzenie, że niebezpiecznie jest budzić lunatyków. Zrobił jakiś ruch, by przyjść gubernatorowi z pomocą, choć wewnętrznie powstrzymywał go niewytłumaczalny wstręt przed dotknięciem go (wstręt nie tyle związany z wyglądem gubernatora, co z jego stanem albo — mówiąc ściśle — z zadziwiającą nieświadomością Neversa co do jego stanu). W tym momencie powstrzymały go krzyki wzywającego pomocy Dreyfusa. Nevers wyznaje, co myślał: właśnie wykańcza Księdza; potem powie, że w jakiś niewytłumaczalny sposób zmarł na jego oczach. Podczas tej krótkiej chwili zastanawiał się również, czy przypadkiem zachowanie gubernatora nie było związane ze świadomością sytuacji Księdza, a skoro tak, to w jaki sposób przebiegała tajemnicza łączność pomiędzy chorymi? Jego niezdecydowanie trwało przez moment; w tym właśnie momencie gubernator zwałił się na ziemię; kiedy Nevers zapytał go, co się stało, już konał. Rozległ się łomot do drzwi; otworzył; wszedł roztrzęsiony Dreyfus prosząc o przyjscie z pomocą: Ksiądz zwijał się i skarżył, jakby umierał, a on nie wiedział, co począć...; w końcu

umilkł widząc zwłoki gubernatora.

— Niech mi pan wierzy — zawołał po pewnej pauzie, jakby doszedł do jakiegoś wniosku — niech mi pan wierzy — znów krzyknął z patetyczną radością — ten nieszczęśnik wie, wie, co się stało.

— Nie mamy tu nic do roboty — powiedział Nevers biorąc Dreyfusa za ramiona i wypychając go na zewnątrz. Wiedział, jakie wrażenie robi na nim śmierć gubernatora. — Ratujmy Księdza.

I kiedy wychodząc popychał obezwładnionego nagle Dreyfusa, nastąpił inny zadziwiający fakt. Nevers twierdzi, że jakieś ręce (albo że poczuł, iż jakieś ręce) zupełnie miękko, bez żadnej siły, chwyciły go z tyłu za gardło. Odwrócił się. W celi były tylko zwłoki.

## L

— Ratujmy Księdza — zawołał Dreyfus; po raz pierwszy na jego twarzy pojawiła się niecierpliwość.

Nevers nie spieszył się. Nawet nie myślał o Księdzu. Myślał o liście gubernatora; o instrukcjach, o których wspominał, że mu zostawia, i których nie otrzymał. Powstrzymał Dreyfusa.

— Pan Castel pisze, że zostawia mi objaśnienia do jakichś odkryć, których dokonał. A tutaj mam tylko list i testament.

— To też wymaga wyjaśnień — odparł Dreyfus tonem wyrzutu. — Biegnijmy ratować Księdza.

— Chodźmy — zgodził się Nevers. — Ale potem płynę na Wyspę Królewską wyświecić tamtą sprawę z De Brinonem.

Tym razem Dreyfus ujął go za ramię i zmusił do zatrzymania się; mówił z namiętym przekonaniem:

— Niech pan nie będzie nazbyt zuchwały.

Nevers zmusił go do pójścia. Doszli do celi Księdza.

— Niech pan patrzy — krzyknął Dreyfus. — No, widzi pan, czy to nie prawda, co mówię. On wie, co się stało.

Nevers mówi, że istotnie Ksiądz sprawiał wrażenie poruszonego: ledwie mógł oddychać, a oczy zdawały się wychodzić z orbit.

Nakazał Dreyfusowi milczenie; wytłumaczył po cichu:

— Tak, możliwe, że on wie. Ale na wszelki wypadek lepiej nic nie mówić. Wolałbym zabrać go do gabinetu.

— Do gabinetu? — zapytał niepewnie Dreyfus. — Przecież pan wie... nie można zabierać ich z cel...

— Tamci nie wychodzili...

Twarz Dreyfusa znów wyrażała zagadkową ironię.

— Już wiem — oświadczył, jakby zrozumiał. — Już wiem. Pan sądzi, że tam będzie bardziej bezpieczny.

Nevers zwrócił się do Księdza:

— Panie Marsillac — powiedział dobitnie — proszę, niech pan pójdzie z nami do gabinetu.

Ksiądz zdawał się słyszeć, ale nie to obojętne zdanie: coś zatrważającego. Oniemiały, drżał (choć powoli).

— Weźmy go — rozkazał Nevers. — Pan weźmie go za ramiona, ja za nogi.  
Spokojna decyzja jego słów zmusiła Dreyfusa do posłuszeństwa. Ale kiedy unieśli Księdza, sam Nevers poczuł lęk. Wybełkotał:  
— On nie żyje.  
Był sztywny. Dreyfus wyjaśnił:  
— Oni już tacy są.  
Wtedy Nevers zauważył, że Ksiądz się porusza; powoli i uporczywie.  
Wysiłki, jakie robił Ksiądz chcąc się uwolnić, zaczynały ich męczyć. Dreyfus rozejrzał się wokół, jakby spodziewał się znaleźć kogoś, kto im pomoże. Kiedy wyszli na dziedziniec, Ksiądz zawołał:  
— Topię się! Topię się!  
Wymawiał powoli, jakby z wolna wyliczał sylaby jakiegoś wiersza.  
— Dlaczego pan się topi? — spytał Nevers zapominając, że Ksiądz jest głuchy.  
— Bo nie pozwolą mi pływać — odpowiedział Ksiądz.  
Puścili go.

## LI

Powiedział do Dreyfusa:  
— Bierzemy go dalej.  
Ksiądz zdawał się być przerażony; dzieląc sylaby wykrzyknął:  
— Potwory.  
Wzięli go. Szamotał się, sztywny, prawie nieruchomy. Powtórzył:  
— Potwory.  
Nevers zapytał:  
— Dlaczego nazywa nas pan potworami?  
— Topię się! — wołał Ksiądz. — Topię się!  
Wypuścili go. Znow zaczął swą powolną wędrówkę w kierunku celi.  
— Niech pan powie, dlaczego pan się topi? — zapytał Nevers. Ksiądz nie odpowiadał.  
— Weźmiemy pana do gabinetu — powiedział Nevers stanowczo.  
Wzięli go. Nie było rzeczą łatwą nieść to sztywne ciało. Ksiądz krzychał:  
— Topię się! Topię się!  
— Nie puszczę pana, póki pan nie powie, dlaczego się topi — odparł Nevers.  
— Nieruchome wody — wybełkotał Ksiądz.  
Zanieśli go w głąb gabinetu, aż pod ścianę najbardziej oddaloną od dziedzińca. Ksiądz natychmiast ruszył w kierunku drzwi. Przerazenie nie opuszczało jego twarzy.  
Nevers był roztargniony. Nie doznał niepokoju czując na karku ucisk słabych rąk, jakby rąk zjawy. Na biurku znalazł zatytułowany zeszyt: *Objaśnienia do moich doświadczeń; instrukcje dla Henryka Neversa*. Wewnątrz były jakieś luźne notatki, prawdopodobnie brulion objaśnień. Mimowolnie patrzył, jak Ksiądz, niczym statua, zmierza w kierunku drzwi na dziedziniec.

## LII

„Dopóki jedna rzecz może symbolizować drugą,  
wiedza i życie codzienne będą niemożliwe.”  
H. ALMAR, *Transmutacje* (Tr. I, V, 7).

Nevers odczytał:

„1) — Życie i świat odbierany przez każdego z ludzi: żyjemy na kamieniach i błocie, wśród drewna o zielonych liściach, pożeramy fragmenty wszechświata, który nas zawiera, pośród ognisk, fluidów, zestawiamy odgłosy, chronimy przeszłość i przyszłość, cierpiący, cieplni, rytualni, śniąc to, co śnimy, podrażnieni, węszący, dotykający, pośród ludzi, w nienasyconym ogrodzie, który nasz upadek unicestwi.

Obraz fizyczny: Jakaś mętna, nieskończona przestrzeń promieniujących w pustce protonów i elektronów; lub może (widmo wszechświata) zbiór promieniowań nie istniejącej materii.

Niczym w zaszyfrowanym tekście, w zróżnicowaniu ruchu atomów, człowiek określa: to jest smak kropli wody morskiej, to wiatr w ciemnych gałęziach kazuaryny, to szorstkość gładzonego metalu, to aromat koniczyny złożonej w hekatombie lata, oto twoja twarz. Gdyby zaszła jakaś zmiana w ruchu atomów, kwiat lilii byłby może naporem wody, która przełamuje tamę, albo stadem żyraf, albo przepychem zmroku. Jakaś zmiana w doznaniach moich zmysłów zmieniłaby może czworobok ścian celi w cień jabłoni pierwszego ogrodu.

»Skąd możesz wiedzieć, że ptak, który przecina niebo, nie jest bezmiernym światem rozkoszy, zakazanym twoim pięciu zmysłom?«

WILLIAM BLAKE.

2) — Przyjmujemy świat takim, jakim go określają nasze zmysły. Gdybyśmy byli daltonistami, nie znalibyśmy któregoś z kolorów. Gdybyśmy przyszli na świat ślepi, nie znalibyśmy żadnej barwy. Są barwy ultrafioletkowe, których nie spostrzegamy. Są dźwięki słyszane przez psy, lecz niedosłyszalne dla człowieka. Gdyby psy przemówiły, ich język byłby chyba ubogi we wskazania wzrokowe, ale posiadałby terminy dla określenia gam zapachów, których my nie znamy. Jakiś zmysł specjalny ostrzega ryby o zmianie ciśnienia wody, obecności skał i przeszkód głębinowych, kiedy pływają w nocy. Nie rozumiemy systemu orientacji wędrownych ptaków ani jaki zmysł przyciąga motyle wypuszczone w odległych punktach ogromnego miasta do tych, z którymi łączy je miłość. Wszystkie gatunki zwierząt na świecie żyją w odmiennych światach. Jeśli spoglądamy przez mikroskop, rzeczywistość ulega zmianie: świat znany znika, a ten fragment materii, który dla naszego oka był jednolity i nieruchomy, staje się wieloraki, porusza się. Nie sposób twierdzić, że jeden obraz jest prawdziwszy od drugiego; obydwa stanowią interpretacje uzyskane dzięki podobnym przyrządom o różnej skali. Nasz świat to synteza, którą dają zmysły; mikroskop daje inną. Gdyby zmieniły się zmysły, zmieniłoby się wyobrażenie. Możemy opisywać świat jako zespół symboli zdolnych do wyrażenia czegokolwiek; przez samą zmianę skali naszych zmysłów odczytamy zupełnie inne słowo alfabetu natury.

3) Komórki nerwowe człowieka są różnorakie, w zależności od różnorodności zmysłów. Ale są też zwierzęta, które widzą, wachają, dotykają i słyszą za pomocą tylko jednego organu. Wszystko zaczyna się od ewolucji jednej komórki. *A noir, E blanc, I rouge...* to nie absurd, to stwierdzenie na oczekaniu. Zależność pomiędzy barwą a dźwiękiem istnieje. Istnieje podstawowa jedność zmysłów, wyobrażeń, przedstawień albo danych, jest to alchemia zdolna zmienić ból w rozkosz, a mury więzienia w bezmiary wolności.

4) — *Mury więzienia w bezmiary wolności:*

Więzienie, w którym piszę, i te kartki papieru dla określonego stopnia wrażliwości (ludzkiej) są tylko więzieniem i kartkami papieru. Jeśli zmienić skalę, staną się chaosem, gdzie wszystko — według pewnych reguł — będzie można sobie stworzyć lub wyobrazić.

Wyjaśnienie:

Widzimy z daleka określony prostokąt i zdaje nam się, że to (i wiemy, że tak jest) jakaś cylindryczna wieża. William James twierdzi, że świat przedstawia się nam jako nieokreślony przepływ, rodzaj zwartego prądu, jakaś ogromna powódź, gdzie nie ma osób ani przedmiotów, lecz przemieszane wonie, barwy, dźwięki, dotyki, bóle, ciepłoty... Istota funkcji umysłowych polega na wycinaniu i oddzielaniu tego, co jest ciągłością, i grupowaniu, w sposób użyteczny, jako przedmioty, osoby, zwierzęta, rośliny... Moi pacjenci, jako dosłowne obiekty Jamesa, zetkną się z tą odnowioną bryłą i w niej będą musieli przemodelować świat. Ponośnie nadadzą znaczenie zespołom symboli. Życie, upodobania i moje kierownictwo będą im przewodzić w poszukiwaniu utraconych przedmiotów, które sami wytworzą z chaosu.

5) Gdyby pacjenci, już po przekształceniu, zetknęli się swobodnie ze światem, interpretacja, jaką daliby każdemu przedmiotowi, minęłaby się z moimi przewidywaniami. Istnieje — być może — jakiś porządek wszechświata; istnieje też, oczywiście, jakiś porządek moich poczynań... Ale nie wiem, czy starczy mi życia, by zbadać kryteria interpretacji.

Podstawowym zadaniem byłoby więc zetknąć pacjentów z rzeczywistością, która nie obfitowałaby w elementy. Podliczmy zwykle mieszkanie: krzesła, stoły, łóżka, firanki, dywany, lampy... Już sama interpretacja krzesła wydała mi się wyczerpującym problemem.

Myśląc o tym doszedłem do wniosku: byłoby sarkazmem zwracać im wolność w ich własnych celach. Przekonałem się bardzo szybko, że oto natrafiłem na rozwiązanie mych trudności. Cele to nagie komory i dla przekształconych mogą stać się ogrodami nieograniczonej swobody.

Pomyślałem: dla pacjentów cele powinny się wydawać miejscem pięknym i upragnionym. Nie mogą być domem rodzinnym, gdyż moi ludzie nie byłiby w stanie zobaczyć nieskończonej ilości przedmiotów, jaka tam się znajduje; z tej samej przyczyny nie mogą być wielkim miastem. Ale mogą być wyspą. Opowieść o Robinsonie to jeden z pierwszych nawyków ludzkich złudzeń, a *Prace i dni* zachowały tradycję Wysp Szczęśliwych: są w ludzkich marzeniach czymś bardzo dawnym.

Dalszym moim problemem było przygotować cele w ten sposób, by pacjenci widzieli je i odbierali jako wyspy; przygotować pacjentów, aby ze splątanego zespołu barw, kształtów i perspektyw, jakim były dla nich cele, wyodrębnili jakąś wyspę. Charakter interpretacji byłby uzależniony od wcześniejszych przeżyć podmiotu. Biorąc pod uwagę, że dokonałem w każdym z przypadków takich samych zmian i jako że postawiłbym ich wobec tej samej rzeczywistości, dla uniknięcia niemiłych niespodzianek w interpretacjach wypadało mi wybrać ludzi, których doświadczenia życiowe nie były od siebie zbyt odległe. A jednak istnieje tyle wariantów i okoliczności, że poszukiwanie 100 żywotów niewiele się od siebie różniących może być trudem daremnym; niemniej fakt, iż wszyscy pacjenci spędzili ponad dziesięć lat we wspólnym więzieniu, wydawał mi się obiecujący.

Doszedłem także do wniosku, że gdybym na dwa lub trzy miesiące przed operacją zajął się przygotowaniem i wychowaniem pacjentów, ryzyko nieoczekiwanych interpretacji byłoby mniejsze. Wzbudziłem w moich ludziach nadzieję wolności, zastąpiłem tęsknotę za powrotem do domów i miast odwiecznym marzeniem o samotnej wyspie. Codziennie, jak dzieci, prosili o powtórzenie im opisu tej wyspy, gdzie byłiby szczęśliwi. Doszli do tego, że wyobrażali ją sobie na żywo, obsesyjnie.”

Uwaga Neversa: *Podczas tego okresu przygotowawczego rozmawiałem z Favre'em i Deloge'em. Niewątpliwie zabronił im rozmawiać z kimkolwiek. Chciał zachować nieskażoną obsesję i uniknąć nieufnych i mylnych (jak moje) wniosków ludzi z zewnątrz.*

„6) Program: zoperować mózg i całą długość nerwów. Operować tkanki (skóry, oka

itd.). Operować systemy ruchowe.

Ograniczyłem szybkość ich ruchów, stali się ociążali. Przemierzając celę powinni robić taki sam wysiłek, jakby przebiegali wyspę.”

Uwaga Neversa: *To tłumaczy sztywność Księdza, kiedyśmy go podźwignęli, żeby zabrać do gabinetu.*

„Aby ochronić ich przed hałasem, mogącym łączyć ich z przeciwstawną (naszą) rzeczywistością, połączyłem słuch z dotykiem. Osoba albo rzecz wytwarzająca dźwięki powinna dotknąć pacjenta, aby ten mógł ją słyszeć.”

Uwaga Neversa: *Dlatego Castel nie słyszał mnie, choć czasami zdarzało mu się słyszeć Dreyfusa; dlatego słyszał mnie Ksiądz, gdy nieśliśmy go do gabinetu.*

„Takie powiązania zmysłów mogą występować przy stanach patologicznych, a nawet u zdrowych osobników. Najczęstsze są syntezy doznań słuchowych i chromatycznych (i znów *A noir, E blanc...*) albo doznań słuchowych i chromatycznych ze smakowymi.

Zmodyfikowałem ich system wzrokowy. Widzą jak przez odwrócone lornetki. Obszar celi może się im wydawać małą wyspą.

Ażeby zanikły (wizualnie) ściany celi, należało zmienić u moich ludzi wycucie perspektywy. Zacytuję fragment z traktatu doktor Pelcari: »Istnieją części powierzchni oka szczególnie wrażliwe na każdy kolor; są komórki analizujące barwy; inne zaś łączą doznania chromatyczne i świetlne: neurony centrum siatkówki pozwalają oceniać przestrzeń; system chromatyczny i system przestrzenny mają swój punkt wyjścia w oku, w komórkach początkowo identycznych, które następnie uległy zróżnicowaniu«. Odnośnie do tego punktu zobacz także Suárez de Mendoza, Marinesco, Douney. Rozwiązałem problem łącząc komórki chromatyczne z przestrzennymi. U moich pacjentów komórki wrażliwe na barwę odbierają przestrzeń. Trzy podstawowe barwy dają trzy wymiary: niebieski — szerokość, żółty — długość i czerwony — wysokość.”

Uwaga Neversa: *Czy wobec tego daltonista żyłby w świecie dwuwymiarowym? A daltonista kompletny — w jednowymiarowym?*

„Ściana pionowa, malowana na niebiesko i żółto, wyglądałaby jak plaża; a lekkie ślady czerwieni jak morze (czerwień dałaby wysokość fal).

Za pomocą różnych zestawień trzech kolorów stworzyłem w celach topografię wysp. W drugim okresie przygotowawczym — zaraz po operacji — skonfrontowałem pacjentów z tymi zestawieniami. Przyszli na świat od nowa. Powinni się nauczyć interpretować go. Kierowałem nimi, by widzieli tu jakieś wzgórze, tam morze, tu zatokę i plażę, tam jakieś skały, ówdzie jakiś las...

Moi pacjenci utracili zdolność widzenia barw jako barw.

Połączyłem wzrok ze słuchem. Inni ludzie słyszą, lepiej lub gorzej, poprzez jakieś ciało stałe. Ci przekształceni natomiast widzą poprzez stałą i nieprzeźroczystą bryłę. Tym samym udoskonałem wzrokową likwidację granic celi.

Pierwsza z moich operacji określiła nieprzewidziany związek nerwów dotyku, wzroku i słuchu; w następstwie pacjent mógł dotknąć na odległość, tak jak słyszymy na odległość poprzez nieprzeźroczyste bryły; tak samo jak widzimy na odległość i poprzez ciała przejrzyste).

Z powodu braku czasu, by porównać i rozwiązać problemy, nie dokonałem w moich operacjach poprawek; powtarzałem zawsze tę pierwszą: wszyscy moi pacjenci posiadają zdolność — być może korzystną — dotykania na odległość.”

Uwaga Neversa: *1) Tłumaczy to lekki ucisk, jakby miękkich dłoni na moim karku. 2) Czy dotykając przez ścianę odczuwają to boleśnie, czy też tak jak my odczuwamy jakiś gaz lub ciecz, a może nie czują w ogóle? Jakkolwiek, żeby słuchać, potrzebują pobudzenia ośrodków dotyku, to jednak przypuszczam, że są w jakiś sposób znieczuleni, gdyż inaczej wzrok i dotyk dawałby im przeciwstawne informacje.*

„7) — Panoramiczna wizja człowieka będącego na wyspie lub w celi środkowej: wyspę otaczają plaże (pasek żółty i niebieski, prawie całkiem pozbawiony czerwieni); potem zatoki (ściany), następnie inne wyspy, ich mieszkańcy i ich plaże, potem — aż po horyzont — otoczone zatokami wyspy (te poprzednie, odbite w lustrach ścian zewnętrznych).

Wizja mieszkańców wysp pobocznych: z trzech stron widzą inne wyspy, zaś w lustrach własną, inne i te, które odbijają się w lustrach innych.”

Uwaga Neversa: *Posadzka dziedzińca jest pomalowana tak samo jak ściany celi środkowej. To tłumaczy lęk Księdza przed utopieniem się. Castel otoczył wyspy żłudnym morzem, aby ci przekształceni nie przedsięwzięli podróży do stref nieprzewidywanych interpretacji. Lustra cel zewnętrznych dają znane obrazy, oddalające zupełnie nieznaną głębię dziedzińca.*

„8) — Inna możliwość: Zmienić doznania (tak jak zmieniają je środki pobudzające lub opium). Świat w ten sposób uzyskany byłby niczym upojenie, niczym miłość lub niebo: jego intensywność nie dałaby się pogodzić z rozumem.

Inna: Aby leczyć umysłowo chorych: zmienić im percepcję rzeczywistości w ten sposób, by zbliżyła się do ich szaleństwa.

Jeszcze inna (dla przyszłych badaczy): U ludzi, których przeraża własna osobowość i wspomnienia, przekształcić nie tylko percepcję świata, ale i własnego ja; przez zmiany w ośrodkach zmysłów i odpowiednie przygotowanie psychiczne osiągnąć powstrzymanie istnienia i odrodzenie się nowego indywiduum w bycie poprzednim. Ale ponieważ pragnienie nieśmiertelności jest prawie zawsze pragnieniem nieśmiertelności osobistej, nie podejmowałem tych doświadczeń.

Świat...”

(Tu notatki Castela urywają się).

## UWAGI NEVERSA

*Podajrzewam, iż gwoli uniknięcia niespodziewanych interpretacji Castel postanowił, że do przekształconych należy się zwracać, należy ich karmić i myć, kiedy śpią (spełnianie poleceń i podejmowanie krótkich dialogów przez sen to łatwy nawyk, częsty u wielu dorosłych i prawie u wszystkich dzieci).*

*Przestawienie pory czuwania i snu: było korzystnym, by cele nie miały dachu; do przekształconych powinno docierać światło dzienne. Interpretacja nieba byłaby problemem zbyt trudnym. Przestawienie godzin omija tę trudność.*

*Zwierzęta z Wyspy Diabła: przypominam sobie starego konia, o którym Favre sądził, że oszalał. Nie rozpoznawał trawy. Bez wątplenia był on jednym z pierwszych przekształconych Castela. Niewątpliwie wszystkie zwierzęta, które Castel trzymał na Wyspie Diabła — według Favre'a wszystkie szalone — służyły do eksperymentów.*

*Przekształcenie samego Castela. Bez większego trudu widział on w celach wyspy, a w plamach plaże, morza czy wzgórze: przez całe miesiące myślał o jednych jako o wyobrażeniach tych drugich (kiedy obmyślał malowidła dla cel, gdy je wykonywał czy wreszcie gdy preparował przekształconych).*

*Według mnie gubernator był pewien, że bierze udział w śnie o wyspach, w którym pogrążył innych, ale bał się stracić na zawsze naszą wizję rzeczywistości; w pewnym momencie poczuł strach. Dlatego też powtarzał litery i próbował je rysować, dlatego próbował sobie przypomnieć, że lanca (jakaś żółta kartka, czyli żółta plama, czyli odległość) była także papierem; że medal (niebieski ołówek, czyli niebieska plama, czyli szerokość) to także ołówek; że groźne nieruchome wody, które go otaczały, były również cementem.*

*Wobec jego zagadkowych stwierdzeń, że już nie będzie odczuwał bólów, lecz tylko słyszał pierwszą frazę Symfonii e-moll Brahmsa, widzę tylko jedno wytłumaczenie: gubernator zdołał albo próbował dokonać transformacji swego bólu w doznania słuchowe. Ale ponieważ żaden ból nie występuje zawsze w tej samej formie, nigdy się nie dowiemy, jaką muzykę*

słyszał Castel.

*W jaki sposób widzieli przekształceni jedni drugich? Być może — jako przemieszane i nieruchome proporcje bez żadnych podobieństw do kształtu ludzkiego; raczej jednak jako ludzi (patrząc na własne ciała znajdowali te same proporcje, co u innych; nie jest zaś rzeczą wykluczoną, że przybierały one dla nich kształty ludzkie — tak jak inne przybrały dla nich formę wysp, wzgórz, mórz i plaż; ale jest również rzeczą prawdopodobną, że proporcje — widziane po prostu jako takie — były jedynym wyobrażeniem ludzkim, jakie teraz znali).*

*Ksiądz nie widział ludzi; widział potwory. Znalazł się na wyspie, a właśnie na wyspie Pacyfiku zdobył swoje najtrwalsze doświadczenia, upiorny sen będący kluczem do jego duszy: w szaleństwie słońca, głodu i pragnienia atakujące go i jego konających towarzyszy mewy widział jako jednego potwora: fragmentarycznego i rozgałęzionego.*

*To stanowi wytłumaczenie żywego obrazu, powolnego baletu tudzież wzajemnych pozycji przekształconych. Widzieli się poprzez ściany. Ksiądz ciągle na nich czytał. Na Wyspach Szczęśliwych Ksiądz znalazł swoją wyspę rozbitka i jał kontynuować swą główną obsesję: łowy na potwory.*

*Dotykali przez ściany i na odległość. Ksiądz ich podusił. Widząc się w uścisku dłoni Księdza doznali uduszenia przez asocjację myśli. Każda fantazja jest rzeczywista dla tych, co w nią naprawdę wierzą.*

*Ucisk rąk na mym karku był słaby. Moje ruchy były dlań za szybkie i nie dałem mu czasu...*

*Nawet Dreyfusa i mnie (gdyż nie byliśmy malowani) widział jako potwory. Gdyby mógł zobaczyć sam siebie, możliwe, że nie interpretowałby tak innych. Ale był dalekowidzem i bez okularów nie dostrzegał własnego ciała.*

*Dlaczego Castel powtarzał: „Potwory to my, ludzie”? Dlaczego powtarzał to Księdzu próbując go przekonać? Może i on poczuł strach widząc się otoczony przez potwory na własnym archipelagu?*

*Po Julienie, jednym z chorych z Wyspy Diabła, nie znalazłem ani śladu. Podobnie jak wszystkie odkrycia wynalazek Castela wymagał i będzie wymagać ofiar. Ale to nieważne. Nieistotne nawet, co się osiągnie. Liczy się entuzjastyczna, spokojna i radosna praca intelektu.*

*Świta. Zdaje się, że słyszałem jakiś wystrzał. Wyjrzę. Potem dokończę...*

*Są to ostatnie linijki, jakie napisał Nevers.*

### LIII

Fragmenty listu porucznika marynarki Ksawerego Brissac, datowanego z Wysp Zbawienia dnia 3 maja.

*Pierre okłamał Irène, oskarża mnie o kradzież dokumentów, oczernia mnie... O ile sobie przypominam, to samo oskarżenie było przyczyną wygnania Henryka. A jednak Pierre zarządzi mój powrót. Wie o tym, że kopie korespondencji Henryka dostały się w moje ręce.*

*Ciesz się, że odwaga okazana przez Henryka w czasie przewrotu została nagrodzona pośmiertnym odznaczeniem. Zasłużył na nie w zupełności wskutek wpływów naszej rodziny i sprawozdania, które przysłał Ci Bordenave, alias Dreyfus.*

*Na razie nie chcę mówić o jego ewentualnej odpowiedzialności za spiszek uwięzionych. Zapewniam cię jednak, że śledztwo czyni postępy. Klucze do magazynu broni były w jego rękach, a drzwi nie były wylamane...*



*Wiadomości co do Henryka ciągle jeszcze są sprzeczne. Niektórzy więźniowie twierdzą, że zamordował go Marsillac, alias Ksiądz; inni, schwytani w Gujanie, że uciekł łódką pod pretekstem pogoni za De Brinonem. Muszę przyznać, że niejaki Bernheim, więzień, okazał się najbardziej zdecydowanym i użytecznym ze wszystkich informatorów.*

*Przesyłam Ci niektóre przedmioty należące do Henryka. Wśród nich jest złota syrena, cudem uratowana przed zachłannością więźniów.*

*Ostatnie wydarzenia poruszyły Bordenave'a. Zastanawiam się czasem (myśląc o idiotyzmie sekretarza), czy Castel i jego nie „przekształcił”... Tak czy inaczej ten człowiek nie jest zupełnie normalny. Budzę w nim niechęć i lęk. Wiem, że wynika to z zachwiania jego równowagi i że mój udział jest tu minimalny, uważam to jednak za zły omen.*

*Wiem o tym, że wysłał Ci kopertę z ostatnim listem Henryka. Wiem od więźniów. Nie myśl, że to on mi powiedział...*

*Teraz gdzieś zniknął. Kazałem go schwytać: to groźny przestępca. Poza tym krążą pogłoski, że ma zamiar oskarżyć mnie, zeznać, że zabiłem Henryka. Myślę z przerażeniem, że to absurdalne kłamstwo może dotrzeć do Saint-Martin i być wyzyskane przez Pierre'a dla torturowania mej ubóstwianej Irène, by wyperswadować jej namiętność do mnie...*

*I tak dalej.*

## POSŁOWIE

Literatura fantastyczna, podobnie jak i cała proza „nierealistyczna” — proza szukająca źródeł inspiracji poza problematyką bezpośredniej rzeczywistości społeczno-narodowej — stała się od pewnego czasu uprzywilejowanym rodzajem literatury argentyńskiej.

Dużą rolę odegrał tu niewątpliwie fakt, że typowym jej przedstawicielem jest jeden z najwybitniejszych twórców epoki współczesnej: Jorge Luis Borges. Sława Borgesa przesłaniała też dzieła innych, równoległe z nim tworzących autorów, wśród których znalazł się, młodszy o lat kilkanaście, przyjaciel jego i współpracownik — Adolfo Bioy Casares.

Trudno byłoby znaleźć dwóch innych pisarzy o równie zbliżonym, a jednocześnie tak odrębnym i odmiennym profilu twórczości. Borges i Bioy Casares wydali kilka wspólnie opracowanych utworów, kontynuując równocześnie własną oryginalną twórczość i ta właśnie oryginalność jest jednym z największych tytułów do sławy Bioy Casaresa, rozwijającego talent swój w kręgu wpływów tak potężnej indywidualności pisarskiej, jaką jest Borges.

Zarówno Borges, jak i Bioy Casares należą do tej samej grupy literackiej — „Sur” — grupy, znajdującej się na biegunie przeciwnym zaangażowanemu społecznie czy też politycznie „realizmowi”.

W Argentynie podział literatury na „zaangażowaną” i „nie zaangażowaną” społecznie posiada tradycję historyczną sięgającą początków XX wieku. W tym właśnie okresie coraz liczniejsza imigracja powoduje rozkwit klasy średniej, która przełamuje hegemonię oligarchii narodowej, dominującej wszystkie dziedziny życia w kraju. Po dojściu do władzy w 1916 r. partii radykałów, składającej się z reprezentantów tych właśnie średnich warstw społeczeństwa, następuje tu intensywny rozwój ideologii opozycyjnych, związanych z programem politycznym nowych ugrupowań; są to: anarchizm i socjalizm.

Idee anarchizmu i socjalizmu przenikają też wkrótce na teren literatury.

Dwie grupy literackie o odmiennych programach artystycznych, jakie wyłoniły się w 1922 roku: „Florida” i „Boedo”, są bezpośrednim wyrazem tych przemian.

Już same nazwy, pochodzące od nazw ulic Buenos Aires, przy których grupy te powstały, sugerują, jakich ideologii wyznawcami mogli być należący tam pisarze.

Florida — to centrum miasta, Boedo — jego robotnicze peryferie. Toteż gdy w pierwszej z tych grup trwają poszukiwania w dziedzinie estetyki, uprawiana jest literatura pełna fantazji i błyskotliwego humoru (gdzie coraz bardziej zaczyna się wyróżniać Jorge Luis Borges) — w drugiej z nich sztuka literacka jest traktowana jako jeden ze środków walki społecznej, poruszania opinii pełnymi naturalizmu opisami szarej, beznadziejnej egzystencji ludności znajdującej się na marginesie społeczeństwa.

Te dwa odrębne, w ogólnym zarysie przez grupy „Boedo” i „Florida” wytyczone, kierunki rozwoju literatury argentyńskiej kontynuowane były w twórczości kolejnych pokoleń pisarskich.

W latach trzydziestych na pierwszy plan wysuwa się pisarz zaliczany w poczet przedstawicieli literatury zaangażowanej, jaka uprawiana była w grupie „Boedo”: Roberto Arlt. Arlt (1900—1942) — zbuntowany i pełen pogardy dla współczesnego mu społeczeństwa, neurasteniczny i profetyczny — był pierwszym, który odczuł oraz wyraził niepokoje i frustracje średnich warstw społecznych w przeddzień wielkiego kryzysu lat trzydziestych.

Po śmierci tego twórcy najważniejszą postacią w literaturze Argentyny staje się Jorge Luis Borges, a reprezentowana przez niego grupa „Sur” (będąca od 1943 roku głównym ośrodkiem życia kulturalnego w kraju) rozwija program literacki twórców „Floridy”.

Należeli tu w różnych okresach swej twórczości: Leopoldo Marechal, Martinez Estrada, Adolfo Bioy Casares.

Borges — poeta, eseista i prozaik — jest twórcą dzieła, w którym olbrzymia erudycja towarzyszy równie wielkiej inteligencji. We wszystkich dziedzinach tego dzieła odkryć można tę samą „estetykę inteligencji”, do której klucza dostarczają przede wszystkim opowiadania łączące istotę jego liryzmu i intelektu.

W tematyce całej twórczości Borgesa przeważają problemy związane z metafizyką: czas,

wszechświat, człowiek — jako cząstka tego wszechświata (wg znanej formuły Borgesa: „wszyscy ludzie są jednym człowiekiem”). Nawet te tematy, które dotyczą bezpośredniej rzeczywistości argentyńskiej, wpisane są u niego w ramy filozofii ogólnej.

Porównując dzieło Roberta Arlta i Jorge Luis Borgesa uchwycić też można zasadnicze różnice między dwoma nurtami literatury argentyńskiej w ich szczytowych osiągnięciach artystycznych.

U Arlta na pierwszy plan wysuwa się pasja, maskująca częsty u tego pisarza brak wykształcenia i jego nie zawsze pełne opanowanie sztuki pisarskiej. Tematy gwałtu, nienawiści, seksu, choroby dominują w jego utworach, stając się wyrazem buntu autora wobec otaczającej go rzeczywistości społecznej. Utwory te, dzięki autentyczności wizji literackiej, zdobyły szerokie rzesze czytelników.

U Borgesa doskonałości struktury ogólnej każdego utworu towarzyszy doskonałość stylistyczna każdego zdania. Sztuka literacka podporządkowana jest u tego pisarza rygorom inteligencji — i, aby rygorom tym być posłuszną, zaadresowana jest do nielicznych wybranych odbiorców, zdolnych do przyjęcia wyzwania intelektualnego pisarza, podążania za nim w jego „grach” intelektualnych.

W latach pięćdziesiątych w literaturze argentyńskiej coraz wyraźniej zaczynają się zaznaczać wpływy ideologii marksistowskiej.

David Viñas (reprezentujący grupę pisarzy skupionych wokół przeglądu literackiego *Contorno*) odnawia tradycje „Boedo” — tradycje literatury opozycyjnej, zaangażowanej ideologicznie i będącej świadectwem rzeczywistości narodowo-społecznej.

W ramach literatury odzwierciedlającej problemy społeczeństwa i narodu znalazło się też m. in. dzieło Ernesta Sábato.

Elementy głębokiego realizmu społecznego występują również w twórczości Julio Cortazara — ale realizm przeplata się u tego pisarza z fantastyką i metafizyką, wykraczając poza ramy wszelkich tendencji czy kierunków literackich.

Adolfo Bioy Casares (ur. w 1914 r.) reprezentuje niewątpliwie typ literatury określanej jako „nierealistyczna”. W pierwszym okresie twórczości w większości jego utworów odnaleźć można ten sam schemat (występujący również często i w opowiadaniach Borgesa): wyszukiwanie problemów trudnych, nic z obiektywnym realizmem nie mających wspólnego — gdzie rozwiązanie następuje zgodnie z pewnymi ściśle określonymi prawami logiki.

Ten typ prozy — ambitnej, wymagającej dużego kunsztu warsztatu pisarskiego — przeznaczony jest dla czytelnika o żywym, analitycznym umyśle, któremu nie są obce problemy metafizyki.

Wśród bezpośrednich prekursorów autora niniejszej powieści, obok Borgesa wymienić należałoby również Edgara Allana Poe. Jednak całość dzieła Bioy Casaresa jest w pełni oryginalna, wykraczająca zdecydowanie poza schematy wszelkich porównań czy też analogii.

Pierwsza jego powieść: *Invenición de Morel* (1940) cytowana jest jako klasyka literatury fantastycznej. W tej historii uciekiniera, który nagle odkrywa na bezludnej wyspie wyraźną, choć nieuchwytną obecność innych istot ludzkich, rzeczywistość przeplata się z halucynacją, aż do zaskakującego, fantastycznego, lecz nie „nadnaturalnego” rozwiązania wszystkich zagadek.

*Plan ucieczki* (1945) podejmuje pewne wątki i pomysły pierwszego utworu; ten sam scenariusz — wyspa, ta sama sztuka przedstawiania w sposób jak najbardziej zwykły i wiarygodny rzeczy niesamowitych, ten sam rodzaj ukrytej pod przedstawionymi faktami filozofii.

W ukazujących się następnie kolejno zbiorach opowiadań: *La Trama Celeste* (1948) i *Historia prodigiosa* (1956) intelektualizm przeplata się z fantazją, science fiction — z intrygą detektywistyczną, a analiza psychologiczna zdaje się usuwać na plan dalszy elementy magii, które autor wprowadza w tok narracji.

Między tymi dwoma zbiorami opowiadań powstaje powieść: *El sueño de los héroes* (1954). Utwór ten, przez samego autora nazwany „opowieścią romantyczną”, oparty jest na idei „czasów równoczesnych”: przyszłości istniejącej w teraźniejszości. Akcja, która przebiega w ciągu trzech lat, pomiędzy dwoma karnawałami, sprowadzona jest w zasadzie do wydarzeń karnawałowych nocy.

Niezwykła przygoda bohatera przeżywającego w czasie pierwszego karnawału śmierć, jaka miała go spotkać w trzy lata później, przedstawiona jest na tle codziennej, banalnej rzeczywistości, w sugestywnie oddanej atmosferze Buenos Aires lat dwudziestych.

Następna powieść: *El diario de la guerra del cerdo*, to pełna okrucieństwa i humoru historia, gdzie autor porzuca swój dotychczasowy styl pisarski na rzecz bardziej realistycznej refleksji nad ludzką egzystencją, problemami starości i miłości.

Miłości, jak sam tytuł wskazuje, poświęcony jest również zbiór opowiadań: *Historias de Amor*

(1972).

Podobnie jak w poprzednim utworze, ironia i głęboka analiza psychologiczna zastępują tu fantastykę.

Odrębną część twórczości pisarza stanowi jego dzieło powstałe w wyniku współpracy z Borgesem pod pseudonimem Bustos Domecq.

Należy tu wymienić w pierwszym rzędzie zbiór opowieści pt. *Seis problemas para don Isidoro Parodi* (1941), gdzie wątek detektywistyczny stanowi pretekst dla satyry wymierzonej w pewne aspekty narodowo-społecznej rzeczywistości Argentyny i charakterystyczne dla niej ludzkie typy.

Humorem w gatunku groteski wyróżnia się również powieść kryminalna: *Los que aman odian* (1946), którą Bioy Casares napisał wspólnie ze swą żoną, pisarką Silvina Ocampo.

Twórczość Adolfa Bioy Casaresa ma niewiele wspólnego z pewnym, często we współczesnej literaturze spotykanym typem science fiction czy też „detective story”.

W utworach jego za mniej lub więcej niezwykłą intrygą kryją się często symbole i uogólnienia, których sensu czytelnik sam musi się doszukiwać.

Tak też jest w niniejszej powieści. Wbrew szczegółowym, precyzyjnym opisom, jakich autor nie szczędzi czytelnikowi, sytuacja od początku do końca pozostaje niejasna. Historyczna nazwa Cayenne nie zwiedzie tu nikogo. Miejsce akcji, tak jak i sama akcja i jej uczestnicy są, pomimo pozornej „zwykłości”, złowrogie w swej enigmatyczności. Nieuchwytna, lecz wszechobecna groźba zdaje się towarzyszyć wszystkim poczynaniom bohatera. I jeśli sam bohater groźby tej nie widzi lub nie chce jej widzieć — to czytelnik nie da się zwieść: wiadomo, że z wyspy tej nie ma ucieczki innej, jak tylko obłąd lub śmierć. Obraz ludzkiej egzystencji? Czy też metafora, gdzie w kategoriach fantastyki wyrażone zostały treści natury moralno-politycznej. Treści, które przemawiają zarówno do czytelnika europejskiego, który nie zapomniał doświadczeń II wojny światowej, obozów koncentracyjnych (warto przypomnieć, że powieść ukazała się w roku 1945) — jak i do mieszkańca Ameryki Południowej, żyjącego w cieniu stałej groźby krwawych dyktatur, zamachów stanu i terroru politycznego.

Ta wyspa zesłańców, gdzie wszechpotężny i szalony gubernator oddaje się swym niesamowitym oświadczeniom na podopiecznych — jest równie rzeczywista i realna, jak nierealna staje się odległa Europa i całe to zwykłe, codzienne życie, które do niedawna wydawało się jedynym, jakie można prowadzić.

Gdzie zatem jest „prawdziwa rzeczywistość”? I co to jest „realizm”?

Takie byłyby ostatnie znaki zapytania, przed jakimi autor stawia czytelnika.

ANNA JASIŃSKA